

WINCENTY KOSIAKIEWICZ

POWRÓT Z ZA ŚWIATA

- Jecze jeden pocałunek,
— ostatni z ostatnich. Są już oboje w przedpokoju. „Do widzenia”, — szept Flor z czułym naciskiem. Miętko, ale swobodnie odpowiada mu Joasia: „Do...”. Flor stoi przy drzwiach, Joasia odsunęła już zasówkę zatrasku, a on jeszcze nie wypuszcza z krzepkiego uścisku swej ręki delikatnych i pracowicie pielęgnowanych jej paluszków. Joasia się uśmiecha. Znosi ona z rezygnacją bujność pieszczot tego chłopca, świeżego, jak wiosna. Wszak tu idzie o rolę! o nową, wielką rolę w sztuce, o której już teraz jest głośno. A czego dla roli, zwłaszcza dla takiej roli, nie robi aktorka, którą ze stanowiska, nigdy nadto mocnego, spychają współzawodniczki młodsze, piękniejsze, zdolniejsze, — i podlejsze?! Joasię ta rezygnacja niewiele zresztą kosztuje, Flor ma bowiem sposób kochania młody, uściski jego są prawie pierwsze, prawie niewinne, a z zapachem rozgrzanych zmysłów jego przenika do atmosfery, otaczającej ich miłości, coś z poezji, coś, co ma skrzydła i wyprowadza gdzieś w górę ponad nędzę rzeczywistości. Joasia to lubi. Wolalaby, swoją drogą, mniej szorstkie, więcej delikatne dotknięcie jego ust, a zwłaszcza rąk, które na jej białej, matowej, hennerowskiej skórze zostawiają czerwone ślady, a nieraz i sine wspomnienia. Edukuje wprawdzie go trochę w tym kierunku, ale uczeń to mało pojętny. Trzebaby stosować do niego system kar, coraz to surowszych, w miarę potrzeby — a na to zawczasie.

Na progu, w drzwiach już otwartych, jeszcze jeden pocałunek, ten — najostatniejszy. „Do wieczora”, — mówi Flor z upojeniem. „Więc o ósmej”, — odpowiada Joasia tonem bliższym przypomnienia, aniżeli czułości. Flor powtarza, rozanielony ciągle: „O ósmej!” I pragnie jeszcze jednego pocałunku, — naj- ostateczniejszego z najostateczniejszych. Ale na schodach słyhać stapania. Joasia się cofa z uśmiechem, przyrzekającym dalszy ciąg rozkoszy po krótkiej przerwie. Flor decyduje się więc, wobec zamkniętych już drzwi, zestąpić ze schodów. Czyni to bez pośpiechu, a ponieważ pamięta o obowiązku obserwacji, jaki ciąży na twórcach, zastanawia się zaraz nad tem, dlaczego krok jego, choć młody, jest tak powolny? „Jestto krok ludzi szczęśliwych — myśli. — Gorączka pośpiechu znamionuje brak

równowagi w duszy. Świat współczesny nie dlatego się tak ciągle śpieszy, że ma więcej do roboty, aniżeli poprzednie światy, lecz, że jest mniej od nich szczęśliwy. Bogowie Grecyi w wolnem tempie przechodzili od rozkoszy do rozkoszy". Poczem, sięgnawszy do skarbca literatury, zawołał do siebie: „Das Leben ist doch schön".

Joasia tymczasem położyła się na szezlongu w usposobieniu mniej podniosłem. Nie była w stanie oddać się całkowitej radości z posiadania nowej roli, — dziesięcioarkuszowej roli, wierszem trzynastozgłoskowym, roli Alcesty w „Powrocie z za świata". Tę rolę ma, posiada, umie ją na pamięć, studjuje ją z autorem od miesiąca, i w pismach ukazało się o tem kilkanaście już wzmianek. Ale do szczęścia brak jej małej formalności: rolę dostała od autora, urzędowego rozdawania ról jeszcze nie było, a dyrektor milczy, jak pień, choć parokrotnie usiłowała go sprowokować... Wydaje się jej nie dość tego, że ma autora za sobą. Flor jest może genialnym poetą?! Tak jej mówią Najmłodszy, którzy tyle hałasu umieli podnieść wokoło „Powrotu z za świata", i tak ją zapewnia sam Flor. Ale Joasia pamięta o tem, że to jest pierwsze jego zetknięcie z teatrem. A teatr — trzeba znać, mój Boże... Przytem Joasia posiada w temperamentie swoim zmartwienie łatwe. Krytyk Niezdarski, jeden z tych, którzy niemało się napocili, aby jej zrobić sta

nowisko na scenie, mawiał, że ona się martwi chętnie. Istotnie, należy ona do typu pesymistów, którzy zwlekają z radością aż do chwili, gdy wszystkie bez wyjątku szanse staną po ich stronie. I żyją w stałej obawie przykrew niespodzianki. Księżę Miccio powiedział jej raz trafnie: „Tu es une amante triste”... Joasia pewnoby się z tego wyleczyć nie mogła, choć[^] by i pragnęła, bo takie usposobienie jest najczęściej karą, którą nosimy w sobie za głębszy jakiś błąd życia. Ale ona raczej przechwalała się swoim brakiem zdolności do radości. Zdaje się jej, że zna równie dobrze życie, jak i teatr[^] i mniema, że jedno do drugiego jest bardzo podobne, a jedno tyle warte, co i drugie.

W ciągu dnia otrzymała wiadomość, która ją pokrzepiła. Flor poszedł, instynktem wiedziony, po obiedzie, do teatralnej kawiarni i spotkał się z dyrektorem, który powiedział mu, że „od miesiąca za nim goni”, i że czas obsadzić sztukę. Flor zapewnił go, że obsada jest od miesiąca gotowa i zaraz na stojący mu tę obsadę wyrecytował. Dyrektor grzecznie zapytał, czy to jest już ostateczne? Flor odrzekł na to: „Ja myślę”. W istocie niemało się nad tą sprawą napracował zarówno z Joasią, która nie szczędziła mu dobrych rad, starając się pozyskać najwięcej ról dla tych, co mieli dla niej w teatrze prawdziwą, czy obłudną życzliwość, i nie myśląc przytem ani odrobiny o interesie sztuki lub autora, — jak i z Najmłodszymi, neo-

klasykami, odrodzicielami kunsztu dramatycznego przez powrót do tradycji greckich, którzy w kawiarni „Pod Nieskończonością” (tam się ci tradycyoniści zbierali przez powszednią ironię losu) długie nad obsadą „Powrotu z za świata” odbywali dyskusje, forytując tych aktorów, którzy możliwie największą ilość klas spędzili w przymusowym kulcie łaciny i greki. Dyrektor odrzekł na zapewnienia Flora z całą swobodą: „Doskonale!”, — pomyślawszy sobie przytem, że takiego młodego szpaka nietrudno będzie nauczyć jakiej się podoba ptasznikowi melodyi. Więc naznaczył mu tylko schadzkę na jutro, bo trzeba przecież pogadać o sztuce. Dyrektor był niegdyś złym aktorem na scenie, poczem przeniósł działalność swą aktorską w życie, uważając, że tu jest znacznie mniejsza konkurencja i że tu potrzeba daleko mniej talentu do powodzenia. Z minimum sztuki i względów też zmieniał swój ton sto razy w ciągu dnia, w zależności od tego, z kim mówił, i coraz to inaczej traktował te same osoby, w stosunku do zmian w ich sytuacji, nie kierując się nigdy niczem innym, oprócz swego prostego, nagiego, ordynarnego interesu chwilowego. W cynizmie i ironii nawet nie znajdował żadnego upodobania i tylko w razie potrzeby się nimi posługiwał, interesownie i bez żadnego artyzmu.

Flor natychmiast po rozmowie z dyrektorem podleciał do telefonu i zadzwonił Joasi

nowinę: „Sztuka już obsadzona ostatecznie. Właśnie dokonałem tego przed chwilą z dyrektorem. Jutro narada nad innemi, ostatniemi szczegółami!”... Nie miał on na myśli uspokojenia Joasi, bo te niepokoje nie były mu pokazywane. Joasia uważała za mądrą politykę traktowanie roli Alcesty jako swej osobistej własności i strzegła się naruszyć we Florze dumnej, a nieco naiwnej jego pewności w kwestyi praw autorskich. Pragnęła wytworzyć w nim najgrubszy możliwie grunt pewności siebie. Uzbierała go w ten sposób do walki za nią innym, oprócz miłości jego do niej, orężem, na wypadek, gdyby walka o Alcestę była potrzebna.

Teraz więc Joasia odetchnęła i wzięła w rękę rolę z głęboką miłością, jaką się ma do przedmiotów drogich i koniecznych, a dopiero po długim utęsknieniu otrzymanych do użytku.

Ale w chwilę potem przyszedł do niej Fipko, kolega teatralny, zwany popularnie Fipką, i cały ten błogi, a tak rzadki u Joasi nastrój doszczętnie zepsuł. Należeli oni do jednego naturalnego stronnictwa niezadowolonych, które powstaje samorzutnie w każdym ludzkim społeczeństwie, gdzie są pokrzywdzeni, lub choćby tylko zawiedzeni. One to, stronnictwa te, wywiązują nastroje tak krytyczne dla tych, co stoją na wyżynach powodzenia, i sprawiają prędkie i często nagle upadki wszystkiego, co

szansą a nie siłą się utrzymuje. Fipka, po krótkich i przypadkowych tryumfach, odsunięty do dalszych szeregów, żył w ciągłym i tragicznym niemal strachu przed życiem. Lada moment oczekiwał dymisji i wysiłał się na ratowanie swej pozycji przez subtelne, imaginacyjne i bezpłodne intrygi. Aby utrzymać ciągłość stosunków z teatralnym światkiem, który od niego stronił instynktywnie, jako od istoty bezużytecznej a mogącej lada moment zażądać usług, rozpowszechniał w stronnictwie niezadowolonych wieści tajemnicze a zawsze nieprzyjemne. Miał jakby dar zdobywania fatalnych informacji i stawał się ich pierwszym gońcem dla tych, którym mogły zepsuć życie. I, niby tchórz w momentach niebezpieczeństwa, zatruwał złemi odorami i tak już mało wonną atmosferę teatru. Fipka był komikiem w swych kreacjach. Ten i ów z kolegów, odetchnąwszy na moment po- wietrzam jego duszy i uderzony skowyczącym tam strachem życia, mówił mu: „Fipka, mnie się zdaje, że ty jesteś tragic..”⁴ To Fipkę sugerowało i pokrzepiało nadzieją. Marzył o roli tragicznej. W sztuce Floryana niesposób było mu jej wyrobić jednak, choć Joasia za nim parę razy przemawiała, ponieważ Fipka otrzymał wychowanie handlowe i neo-klasycy słyszeć o nim nie chcieli.

— Wiesz już nowinę? — rzekł Fipka od proga, rozstrojony (był takim zawsze) i ziejący robionem oburzeniem.

— Co za nowinę? — pyta Joasia, owładnięta natychmiast przez niepokój.

— Cóż?! rolę Alcesty dali, naturalnie, Nie- ciemskiej.

Ta młodziutka, śliczniutka, głupiutka i bardzo przebiegła aktoreczka uchodziła za kochankę dyrektora.

Joasia osłabła najprzód, potem nabrała prędko sił i nie słuchając dalej Fipki, zaczęła wymyślać nieobecnemu dyrektorowi słowami tak energicznymi, że nie poznałby jej w tej chwili żaden z bywających u niej znajomych i przyjaciół z literatury, prasy i „świata”. Żądała ona bowiem od nich form dobrych i miała sama dużo smaku w przestrzeganiu granicy, oddzielającej inteligentny wybryk języka a choćby gestu od nieopłaconej niczem brutalności. Ale tu szło o rolę, a więc o rzeczywistość i o poezję, o terażniejszość i przyszłość, o stanowisko, o życie aktorki. Wobec tych rzeczy staje się taką, jaką się jest, naga. Tembardziej, gdy patrzą na to tylko teatralne oczy z tego rodzaju nagością otrzaskanego kolegi. Czas jakiś dawała więc sobie szczerą folgę. A Fipka przyświadczał tej jej piosence, grającej unisono z dźwiękami jego duszy, i dogadywał: „Widzisz... widzisz...”

Ale uspokoiwszy się nieco, Joasia poczęła pytać Fipkę o bliższe informacje i wtedy się pokazało, że informacji nie miał Fipka wogóle żadnych. Role nie były wcale jeszcze rozdane.

Nieciemska do nikogo się nie odzywała z żądaniem Alcesty. I cała historia sprowadzała się do przypuszczenia, wyrażonego przez starą jakąś aktorkę, że komużby ten stary rozpustnik dał tak świetną, chociaż wierszem napisaną, rolę, jeśli nie swej nałożnicy?!

Wtedy Joasia wybuchnęła nowym oburzeniem, tym razem na Fipkę, nie, mogąc mu darować tego najprzód, że ją tak nastraszył bez powodów, a potem, że była tak głupia, iż go nie wysłuchała dokładnie i odsłoniła się w swej moralnej nagości, tak kompletnie bez potrzeby.

Powiedziała mu więc poprostu:

— Idź do diabła!

I nie chciała z nim więcej gadać.

Gdy została sama i wykipiała z reszty gniewu na niego i siebie, zaczęła znowu wątpić. Radosny nastrój, jaki przepełnił ją pod wpływem telefonicznej wiadomości od Flora, nie powrócił już, niby ptak spłoszony a pierzchliwy. W usposobieniu melancholijnym wyczekiwała przyjścia Flora, aby od niego dowiedzieć się wkońcu, że wszystko, czem jej dusza dziś była tak głęboko poruszona, zarówno ból i gniew, jak i radosne uniesienia, były jakimś oszu-kaństwem i igraszką losu, że nic napewno nie jest ustalonym jeszcze, i że zadługo, doprawdy, coś złowieszczonego, nad nią zawieszzonego, a mającego wpływ na jej dołę, morduje ją torturą niepewności.

Flor jednak o niczem z tego wszystkiego

nie wiedział i nic a nic jej nie rozumiał. Nosił on się od pewnego czasu z myślą wspaniałą, którą właśnie dziś postanowił wypuścić na próg urzeczywistnienia.

Jego obecnie jedyną, a głęboką troską były braki poważne, jakie zaobserwował w wykształceniu Joasi. Wiele, doprawdy, jej niedostawało w ogólności, ale pod względem klasycznych dyscyplin była to poprostu tabula rasa. Przechodząc z nią rolę Alcesty, miewał Flor dla niej prawdziwe wykłady historii, literatury i archeologii starożytnej. Ledwo wypoczęli po uściskach, już miał do powiedzenia Joasi coś pożytecznego, mającego czasem związek z „Powrotem z za świata”, a coraz to częściej takiego związku nie mającego. Namawiał ją, żeby uczyła się łaciny i greki, tłumaczył, że to będzie konieczne dla niej, jako dla aktorki, ponieważ za lat parę klasycyzm ogarnie scenę bezwzględnie, i układał z nią podróż do Rzymu i Aten. Joasia słuchała tego czasem inteligentnie, czasem roztargniona, czasem pieszczotliwie, nie przywiązując do słów jego wielkiej wagi i nawet nie podejrzewając, iż ją mają. Tulila się czasem do Flora, szepcząc: „Joasia będzie się uczyła po łacinie i po grecku, a pan profesor będzie ją stawiał do kąta...”^{1<} Ale w głębszy sposób ze wszystkich tych projektów brała tylko plan podróży do Aten i do Rzymu.

Dziś właśnie Flor przyniósł w kieszeni gramatykę łacińską i ułożył sobie rozpocząć

z Joasią lekcye bez zwłoki. Joasia jednak podniosła na niego zdziwione oczy i rzekła:

— Co? ja? po łacinie? Na co?...

Flor się zdziwił jeszcze więcej, bo mu się wydawało, że to było między nimi zupełnie już ułożone. Dotknięty do żywego i nie umiejący sobie zdać sprawy z otrzymanego przytyka, umilkł, schował gramatykę łacińską do kieszeni i nie podnosił tej sprawy. Joasia innego dnia, przy większej równowadze ducha, z pewnością znalazłaby się bardziej inteligentnie w obliczu gramatyki łacińskiej, jakkolwiek wykluczoną musi być z zasadniczych względów wszelka zażyłość między temi dwiema istotami. Dziś była zbyt zdenerwowaną. Tem się zabezpieczyła od dłuższej wizyty Flora, który wcześniej wrócił na łono neo - klasyków, do knajpy „Pod Nieśmiertelnością”, uniewinniając Joasię z jej szorstkiego i dziwnego: „na co?”, i nie utraciwszy jeszcze nadziei wprowadzenia jej w świat klasyczny, gdzie wszystko jest tak wyraźne, proste i mocne.

II.

wyznaczonej wczoraj młodemu dramaturgowi godzinie siedzi dyrektor w swoim gabinecie, pali cygaro i wertuje przygotowany do scenicznego użytku egzemplarz „Powrotu za świata”. Niczem on go nie pociąga, niczem nie odpycha. Nie zna tej sztuki dyrektor wcale, choć ją wystawia, i pewno nie pozna nigdy. Nie dla siebie przecież utrzymuje teatr?! A jednak nie jest to człowiek bez głębszej inteligencji: nie próbował, na przykład, z samego czytania sztuki prorokować jej furory albo klapy na scenie, nigdy więc się pod tym względem nie omylił. Byłoby rzadki dyrektor, nie kierujący się chimerą znajomości sceny. Należało mu oddać i tę sprawiedliwość, iż nie był zgoła pozbawiony ideału: wierzył on w coś, a mianowicie we wpływ prasy na publiczność. „Powrót z za świata” przyjął do grania, ponieważ pewne pisma, wrażliwe na sprawy literackie, podniosły namiętny hałas wokół tylko GO zro

dzonemu neo-klasycyzmu. Domagano się wielkim głosem prób i doświadczeń. Zarzucano teatrowi obojętność dla sztuki, kultury, postępu, ojczyzny i ludzkości. Dyrektor powiedział więc: „Ależ — czemu nie?” I opracował piękny gest w formie listu do narodu, oddając swój teatr do rozporządzenia Najmłodszych. Na szczęście, neo-klasycy rozporządzali już jedną sztuką, napisaną przez najzdolniejszego poetę grupy. Było dalszy ciąg historii bohaterskiej żony, Alcesty, dramat podjęty w tym miejscu, gdzie stary Eurypides go zakończył, i malujący nieszczęśliwe pożycie dwóch dusz, z których jedna w tragicznej próbie wykazała całą miarę swej wyżyny, a druga odsłoniła cały padół swego dna. Zaniesiono tę sztukę dyrektorowi, który poprosił neo-klasyców o zamieszczenie wzmianki w dziennikach, iż przyjął „Powrót z za świata” — „z zamkniętymi oczyma”, w nowym tym geście łącząc w ten prosty sposób wspaniałomyślność z ostrożnością.

Tymczasem Flor dąży na konferencję w towarzystwie Gipskiego. Stało się to tak, że wczoraj oznajmił „Pod Nieskończonością” o naradzie ostatecznej z dyrektorem. Obchodzono to jak nowy tryumf neo - klasycyzmu. Przy rozejściu Gipski zaoferował się odprowadzić Flora do domu i po drodze zaproponował mu: „Chcecie, to jutro pójdziemy razem gadać z dyrektorem o sztuce?” Flor mu zaraz podziękował za tyle życzliwości. Ależ, doskonale...
Prze

cież „Powrót z za świata” jest do pewnego stopnia dziełem całej grupy!... Na co Gipski skwapliwie się zgodził. Ten Najmłodszy miał już lat pod czterdzieści i był powagą w grupie, lecącej tak hałaśliwie na podbój świata. Starał się o to zresztą wytrwale i zręcznie. Filolog, nauczyciel języków klasycznych, nieudany krytyk dotychczas, spotkał się naraz z silnym powiewem artystycznym, w stronę klasycyzmu dmącym; podstawił więc co prędzej wiotkie swe skrzydełka pod ten wiatr dobroczynny i rzeczywiście wylatywał z nim w górę. Nazwisko Gipskiego zaczynało być głośnem, a byłoby może już sławnem, gdyby nie artykuły, które od czasu do czasu pisywał. Te mu szkodziły. Na szczęście, ktoś ze Starych powiedział o Gipskim, że „aż luna bije od jego im- potencji”. Wyrażenie zrobiło furorę w mieście i posłużyło do umocnienia powagi Gipskiego, — takie szczęśliwe wyrażenia, jak wiadomo, w mieście tem lepiej usługują dotkniętym niemi, im bardziej są trafne i słuszne. Miewał zresztą Gipski pomysły genialne, jak na przykład wproszenie się na konferencyę autora z dyrektorem, gdzie nie było żadnej dlań roboty, a skąd wyjdzie z nowym promykiem w nim- busie, tak zabiegliwie, a dyskretnie splatanym wokół bujnej swej czupryny.

Skoro tylko neo-klasycy weszli do gabinetu dyrektorskiego, zaczęły się rozprawy estetyczne. Najmłodszy nie mieli ich nigdy dość.

Zdawało się, słuchając ich, że Prawda zależy w całości od ilości razy potwierdzenia jakowejś formuły. Dyrektor słuchał tego roztargniony, znudzony i niecierpliwy. Ale gdy Gipski zawołał po swojemu: „Precz z tapicerami z teatru! Tak! precz z tapicerami!” — nastawił ciekawie uszu. Co prawda, było to specjalnością Gipskiego wołać: „precz z tapicerami”. Wkładał on w to hasło jakąś zimną pasję i skoncentrowaną nienawiść. Wybuchał tym okrzykiem, niby lodowy wulkan jakiś, mroźny a szalony. I słuchając go, miało się ochotę, a propos, a zwłaszcza nie h propos, wołać: „precz z tapicerami! tak, precz z tapicerami!”

— Jak to panowie rozumiecie? — zapytał dyrektor.

Wytłómaczyli mu to zaraz. Sztuka normalna dzisiejsza, zwłaszcza taka, którą dyrektorzy, aktorzy, krytycy i tłum nazywają dobrą sztuką, jest to „zupa z gwoźdź”. Bierze się do niej dwadzieścia przypraw i tworzy miszkulancyę, w której sam gwoździec jest najmniepotrzebniejszym z dodatków. Dekoracje, meble, kostiumy, oto czym dziś się działa na tłumy. To, co jest w sztuce wiecznym, nieśmiertelnym, zasadniczo ludzkim, klasycznym więc, nie odgrywa żadnej roli. Należy uprościć całą tę dekoracyjną stronę teatru do minimum, do elementów najpierwotniejszych. I niech ze sceny mówi do narodu Poezja! Jak kwiaty polne lepiej są ubrane od żon Salomonowych, tak wier

sze są bardziej królewską szatą od najwyszu- kańszych i najkosztowniejszych dekoracji dla dzieła talentu.

Dyrektor dał się porwać.

— Ależ to, co panowie zamierzacie, jest... rewolucją? — zawołał.

— Ja myślę, — rzekł pogardliwie Gipski.

— Zatem żadnych nowych dekoracji?! ani nowych kostyumów?! ani nowych rekwizytów?^ Precz z tapicerami?!

— Precz z tapicerami! Tak, precz z tapicerami!

Dyrektor, choć tak trzeźwy, poczynał dostawać zawrotu głowy! Jakto?! więc premiera nie będzie kosztować nawet dziesięciu oboli?! Ależ to jest najrozkoszniejszy ze snów, jakim marzyć może dyrektor teatru?! I byłoby to jawą?!

Ręce mu drżały, tak go wzruszenie ogarnęło w obliczu nowej estetyki. Począł ścisnąć dłoń Gipskiego, który mu się zdołał już uwypuklić, jako generalny sprawca przewrotu, i szepnął:

— Niech wam Bóg błogosławi!

Poczem dodał uroczyście i z naciskiem stosownym :

— Ja jestem cały z wami...

I poinformował się zaraz, w której kawiarni neo-klasycy się zbierają.

— Przejdźmy teraz do ataku. Jeżeli mamy zrobić rewolucję, my, Najmłodszy, nie możemy

przegrać tej pierwszej batalii. A w takim razie trzeba sztukę obsadzić bez błędu. Alcesty nie może grać Joanna.

Flor się zaniepokoił.

— Dlaczego? — zapytał.

— Jest za niska i głosu ma za mało. Posiadam w trupie aktorkę, jakiej nam potrzeba, a której miałem właśnie dać dymisyę, bom nie wiedział, co z nią zrobić przy naszym zgniłym repertuarze dotychczasowym. Malinowska. Znacie ją? Bohaterka urodzona. Głos jak dzwon. Niebardzo młoda. Ale ma rysy. Wszystko, czego nam potrzeba.

— Ależ Joanna nauczyła się już roli — szepnął Flor, trochę przestraszony tym nagłym obrotem sprawy.

— Wielkie rzeczy?! To nie ma żadnego znaczenia w tej kwestyi — zapewnił dyrektor.

A Gipski natychmiast pospieszył mu to potwierdzić.

Malinowska? znam — poparł dyrektora. — Jakby stworzona do koturnów. Głęboki głos kontraltowy. Tego nam potrzeba. Wybornie się składa. Że myśmy odrazu na to nie wpadli?!...

Sprawę prędko więc załatwiono. Dyrektor widział już teraz przed sobą tylko Gipskiego. I nowe uwagi, niezbyt zresztą natarczywe, Flora zbył argumentem mocnym:

— Przecież jej nie zależy na tem, aby samej zrobić klapę i położyć panu sztukę?!
Powrót z za świata

Potem ułożono plan wystawy. Jako dekoracja jedyna — morze! Jest w składzie morze. Na froncie portyk domu Admetesa. Jest taki portyk. Solistom sprawi się nowe greckie stroje, a chórowi da się kostyummy z Pięknej Heleny. Może one nie będą archeologicznie ścisłe, ale neo-klasycy gardzą i archeologią w teatrze. Niech uczucie artysty i wiersz poety stworzy prawdziwą Grecję na scenie!

Dyrektor jest ciągle jeszcze wzruszony, jak nie był od lat. Ściska dłonie obu rewolucjonistów z wylaniem...

— Młodzieży błogosławiona! — żegna ich. — W tobie mieszka przyszłość! Tak jest*
Precz z tapicerami!

III.

dzie tego wieczoru Flor do Joasi pełen niepokoju, smutny i nawet zgryziony.

— Będzie niekontenta, będzie zła, — myśli sobie.

Układa w głowie naiwnie, jak to on wyperswaduje jej, iż i dla sztuki i dla nowej szkoły, i dla aktorki samej będzie lepiej, jeżeli rolę tę zagra inna. Spodziewa się niezadowoleń. Nie podejrzewa, iż stoi przed zadaniem, godnym nowożytnego Herkulesa, obdarzonego potęgą oczyszczania najbardziej zagnojonych stajen.

Joanna ledwo rozumieć może fakt, który się stał, choć nie przestała się go stale spodziewać. Tego, czym Flor fakt ten przystraja i okrasza, ona poprostu nie słyszy.

— Jakto?! Nie ja?! — pyta, wyciągając ku Florowi szyję i wytrzeszczając oczy, jakby chciała najbardziej zbliżka, a więc najpewniej, najmocniej uchwycić fatalną nowinę i przekonać się już niezawodnie, że się nie myli.

Zapytać teraz „więc — któż?“, uważałaby Joasia za najbardziej pustą z ciekawości. Gnie się pod ciężarem tej wiadomości, chwieje i przysiadła na fotelu.

— Jestem zgubiona! — myśli rozpaczliwie.

Powtarza to sobie w myśli wielokrotnie, to jedno, ale tak natarczywie, że jej usta poruszają się niemo w takt tej myśli, a potem i głosem ją powtarzają.

Flor staje zdumiony przed tym obrazem rozpaczy. Serce mu się ściska i skręca. Przerywa swe komentarze, które miały Joannę naprowadzić na drogę rozsądnej, choć może i na razie burzliwej nieco rezygnacyi. Nie pojmuje, nie ogarnia jej rozpaczy. Nie był do tego niczem przez Joasię przygotowany. Przeciwnie, kryła się ona przed nim z całą sumą i pięknem nadziei, jakie zawieszała w myśli swojej na nitce roli Alcesty. Nie westchnęła przed nim ani razu tak częstym swem westchnieniem: „Może nie zapóźno jeszcze?... Może wielka rola przychodzi jeszcze w porę?.. / Przywykła manowcami uczęszczać teatralne terytoryum, nie wysłuchiwała Joanna głosu wewnętrznego, który tym razem tak wymownie i słodko zapraszał ją do szczerości.

— Jedna rola mniej lub więcej?!... — szepce Flor stropiony i niezdolny zrozumieć rozpaczy Joanny.

Szepce tak, aby coś głośić i czemś pokryć

to zdumienie, które go wytrąciło narazie ze wszelkich dróg myślenia.

Joanna gotową jest już jednak do rozmowy, do wyjaśnień, do wielkiej sceny. Zapomina o subtelnościach swej polityki i nie kombinuje, że to jej wyrachowania doprowadziły do klęski. Gdyby Flor wiedział, jak całą duszą ona pragnie, łaknie i woła o rolę Alcesty, inaczejby się zachowywał w gabinecie dyrektora teatru?! Teraz mu to wszystko mówi, rozdrażniona bólem, bez celu i wyrachowania, niezdolna do panowania nad sobą i obejrzenia się za środkami ratunkowymi, a uciskana tylko potrzebą wyrzucenia z siebie myśli i uczuć, krwawiących ją i rozdzierających.

— Ta rola?! Ach! Czem była dla mnie ta rola?! — rzuca jakby jeszcze do siebie.

Te słowa, te pytania poddają jej ton, nastrajają ją, jak potrzeba. Budzi się w niej aktorstwo, i to ogólno-ludzkie, którym człowiek sztukuje swą niemoc powszechną, zawodzącą go nawet przy wyrazie swych bólów, i to specjalne, sceniczne, teatralne, które aktorom podsuwa z tej suflerskiej budy, jaką jest pamięć, gotowe formy wyrazów, gestów, sytuacji. Siada więc Joanna bliżej Flora, koncentruje się w pozie zaczepnej a malowniczej, podpiera twarz zaciśniętą kurczowo pięścią, wlepia w niego spojrzenie płomienne, ile da się, palące, zaciska usta, aby ich następnemu otworzeniu dać kształt wybuchu.

— Ta rola?! Ta rola?!

I objaśnia Flora, jaka to wojna o role to-^ czy się na tym okrutnym i bezwzględny teren boju, którym jest teatr?! Gdzie wszystkie perspektywy są zebrane i skurczone, aby uwydatnić w tym większej nagości pychę mocnych i nędzę słabych?! Gdzie dary i szanse rozdziela życie brudnymi i ordynarnymi rękoma dyrektora teatru?! Gdzie obcą jest lojalność, śmieszna rycerskość, głuchą sama litość?! Jak trudno jej było w ostatnich latach?! Jak okropnie ciężko?! Od tak dawna żaden już tryumf nie odświeżył jej artystycznych ambicyi. A w teatrze tryumfy jakieś są konieczne, absolutnie konieczne, bo tuż, tuż blisko, w kulisach wraz z inspicjentem, wywołującym aktorów na scenę, kręci się widmo groźne zapomnienia, cień tem czarniejszy, im jaskrawiej błyska światło rampy.

Przypomina sobie szczęśliwe porównanie z jakiejś powieści o życiu aktorskim:

— Droga aktorki jest chodzeniem po drucie! Dla utrzymania równowagi na tej niebezpiecznej ścieżce dają nam, do żonglowania, płonące pochodnie. To role—te pochodnie. Każda z nich gotowa oparzyć żywym ogniem rękę, wyciągniętą dla utrzymania równowagi. A jednak, gdy tej obracającej się pochodni niema — spada się z wysokości w bagno lub przepaść...

Gdyby jeszcze nie wiedziano o ich stosunku?! Ale takie rzeczy zawsze są wiadome,

tembardziej, skoro się nie myślano o tem spe-
cialnie, aby je ukryć?!

— Udawano się do mnie o protekcję?... Zdjął ją żal bezmierny.

— O protekcję do ciebie! Wruszyła tragicznie ramionami:

— Co o mnie powiedzą teraz?! Co o mnie będą myśleć?! Jak mnie będą lekceważyć?!
Jak mną będą poniewierać?! Nie mogłam; nie umiałam dostać roli nawet... nawet... od...
ciebie?!

Na usta rwał się frazes: „Nawet od kochanka, ?^u Przez poczucie efektu, które jej nie
opuszczało* pominęła to słowo ze sztuczną wstydlivością.

I to po to, aby zaraz bezpośrednio wybuchnąć słowem okrutnie bezwstydlivem:

— A ty wiesz, czym ja będę, czym ja się stanę, gdy utracę moją pozycję w teatrze?! Gdy
nie będę mogła już nazwać się aktorką? artystką?

I rzuca przed nim wyraz najdotkliwszy, jakim można zranić i sponiewierać kobietę.

Cierpi, istotnie, strasznie. Mówi pewno prawdę. Ale mówi ją fałszywie, po aktorsku,
jaskrawię i z przesadą.

Jednak Flor czuje ból w tej pozie i mękę w tej przesadzie. Poza przecież płynie także z
głębiny jakiejś potrzeby ludzkiej. A jeżeli człowiek czasem zije dysonansami w momencie
dramatycznym, może to obrażać smak artystyczny widza i słuchacza, ale ból nie jest przez to

mniej rzeczywisty i mniej dojmujący. Ot, niektórzy ludzie nie umieją pięknie cierpieć. Brak im tego właśnie talentu. Joanna go nie posiadała.

Flor zrozumiał ją przecież dokładnie już teraz, choć trochę późno i odczuwał w niej tragizm człowieka słabego, pod którym załamują się podstawy jego egzystencji. Nie może wybaczyć sobie, jak był ślepym i jak dalece zatopionym we własnych tylko, swoich interesach. Ogarnia coraz lepiej rozmiary swej winy i siedzi skurczony, przytłoczony, pełen skruchy i niemego żalu, w pozycji, jaka przystoi wielkim winowajcom.

Oczywiście, wszystko to jutro odrobi. Niema już mowy, aby ktokolwiek inny grał Alceste?!

A to odrobienie uważa za rzecz tak prostą, naturalną, elementarną, że mu nie przychodzi na myśl powiedzieć o tem Joannie.

I oto jedno słowo, to samo słowo, które leży prawie na jego ustach, wprowadziłoby od razu pogodę do burzą skłóconej tak srogo atmosfery tego przytulnego apartamentu. Ciężki nieporozumienia rozsiałyby się natychmiast. I nowe tęcze by wykwitły po sprzeczce żywiołów. Dobre duchy usłyszałyby tu już składanie się ust do nowych pocałunków.

Ale ludzkich interesów pilnują i inne duchy. Naszeptają one coś do zgorączkowanej głowy

Joannej. I ta znalazła zaraz nowe, większe jeszcze powody do rozpacz.

Bije się oto teraz białymi piąstkami po gładkiem czole.

— Ależ ja byłam głupia dopiero! — woła po pauzie. — Jaka głupia?! Jaka głupia?!

Zostawiona sama sobie przez młodzieńcze niedołęstwo Flora, wyobraża sobie teraz Joanna, że zrozumiała i przejrzała nawskroś tego chłopca z tak niewinną pozornie miną. Ależ on ją przecież — oszukał! Oszukał haniebnie! W pole wywiódł jak pierwszą lepszą szwaczkę! Kiedy ona prowadziła z nim politykę subtelną, cienką, w gruncie rzeczy śmieszna i niemądra, on także z nią prowadził grę! Grę — jakże prostą, zwykłą, banalną! I ona dała się na to wziąć? Ona?! Tak doświadczona?! choć ciągle tak nieostrożna?!

Tego fatalnego wieczoru to wydaje się jej najgorszem ze wszystkiego, najdotkliwszem, najbardziej upokorzącącem, bo odsłania w niej zasadniczą słabość wobec życia, błąd organiczny jej natury, przez który musi nieodwołalnie zginąć. Jest za głupia, za łatwowierna, zamało ostrożna, zbyt ufna. Nie umie się nauczyć nic w szkole życia, w akademii teatru?!

— Ach! teraz rozumiem wszystko! — woła. — Kawaler wziął mnie na kawał! Jak się bierze na kawał! Ah, na prosty, ordynarny, zwykły kawał!

Poczyna się śmiać śmiechem sztucznym, naigrywającym nad jej własnem niedołęstwem.

— Kawał? — pyta Flor, wytrzeszczając oczy z obawą, że może znowu czegoś w tej dyabelnej sprawie nie rozumie.

Joanna zmienia tonację swego śmiechu. Teraz wybucha w sposób ostry, zjadliwy, zły i znieważający Flora:

— Ale robił ciągle poetę! Wszystko w wielkim stylu! Wszystko wierszem!

I powtarza z naciskiem:

— Poeta?! Poeta?!

Flor nie orientuje się, jakie to razy nań spadają. Zaślepia go współczucie dla Joanny i szczerze rozpamiętywanie swej winy.

— Moja Joasiu, — odzywa się tonem, proszącym o łaskę przebaczenia.

Ją teraz oburza, że on się nie demaskuje, że nie kwituje niczem z odbioru tego, co mu się należy.

Powiększa więc dozę obelgi:

— Znany dobrze ten typ, mój paniczu, znany. Wszystko wziąć i nic nie dać! Na tem polega sztuka! Cóż! Powinszuj sobie! Udało ci się, kawalerze!...

Teraz dopiero Flor trzeźwieje, i nagle, jak nagle obudziłby się z drzemki człowiek, któremu by dano policzek. Wszystko wziął? Nic nie dał?

Nareszcie rozumie. Rozumie wiele odrazu. To naprzód, że w różowy splot momentów, którymi upajała go jmiłość, wkręcała się stale i nić szara interesu. W naturze jego była i rea

lizmu pewna miara. To spostrzeżenie tem mnie} go zrazić było zdolne dziś, kiedy odkryty przed nim został ciężki żywot tej kobiety, którą przywykł tak uważać za narzędzie radości i rozkoszy, iż nie przeleciało mu nigdy przez głowę, aby w niej paliły się bóle i jęczały smutki. Dobrze. Jeżeli jest coś interesownego w miłości aktorki do autora dramatycznego, rozporządzającego rolami, to gotów upatrywać w tej sytuacji jakąś dozę sprawiedliwości. Ludzie powinni sobie służyć wzajemnie i pomoc nieść.

Ale drży w nim coś głęboko w duszy z oburzenia, że przedstawiono mu ten element interesu w formie rachunku do zapłacenia!? I, co najgorsza, tak brutalnie, jakby był podstępny bankrutem!

Odzierają go z uroku! Wyobrażają go sobie i sądzą innym, niż on jest, zwłaszcza, aniżeli pragnąłby być wyobrażanym i sądzonym. A urok urabia sobie każdy człowiek żywotny, jakby się z wierzchu pokrywał rodzajem skóry, wystawianej na zmienności aury stosunków między-ludzkich. I ta skóra, naczyniana wpół świadomie a wpół pociemku, krojona jest na miarę duszy, dla uplastycznienia jej wszystkich wyżyn, i głębin, i zaokrągleń. W młodości skórka ta jest delikatna, bo świeża, a oddzieranie jej bardzo bolesne.

Robi więc Flor natychmiast gesty ratunkowe, dążące do zachowania swego uroku, po

mimo, że zdaje sobie sprawę i z tego, że tu zaszła jakaś wielka katastrofa, która porywa i unosi to, czemu urok jego potrzebnym byłby najbardziej.

Mówi do Joanny spokojnie, o ile może, i stanowczo, o ile go stać na to:

— Uspokój się, Joasiu! Nikt nie myślał cię oszukiwać! Będziesz miała rolę!

Joanna najmniej tego się w tej chwili spodziewa. Jeżeli dała sobie tyle folgi, to dlatego, że uważała wszystko za stracone. Likwidowała sytuację i zapisywała swe ciężkie straty.

Przyjęła słowa Flora za dalszy ciąg kawału:

— A jakże? Nieciemska odda rolę, jak jej każesz?!

— Nieciemska nie dosłała roli...

Joanna ogromnie się temu zdziwiła.

— A kto? — zapytała głucho.

— Malinowska.

Zdumiała się)

— Malinowska? — powtórzyła, jak echo.

Coś w rodzaju nadziei odwiedziło zaraz jej serce. Powierzenie nowej wielkiej roli aktorce najzupełniej do roli tej odpowiedniej, przedstawiło się Joannie jako fakt, mniej dokonany od wielu innych.

— Jakto? więc nie wszystko stracone?...

— Nic nie było i nie jest stracone.

— Ja mogę dostać tę rolę?

— Masz ją. Daję ci słowo.

Rzekł to z naciskiem.

Ten nacisk jednak odnosi skutek odwrotny- Joasia myśli sobie:

— Pożąda mnie jeszcze!

I już wierzy, że nie wszystko jest stracone, tylko najmniej tę wiarę opiera na słowie uroczystem Flora. Buduje ją teraz szybko na namiętności jego, którą odgaduje żywą właśnie z jego słowa uroczystego. Uspokaja się. Postanawia naprawić kapitalny błąd swój, jak mniema, robi wstecz dwa kroki, odsłonięte ramiona cofa za siebie symbolicznym gestem.

I mówi Florowi:

— Dobrze. Owszem. Czekam na rolę. A do tego czasu, jeżeli łaska, zostaniemy... tylko przyjaciółmi.

IV.

azajutrz przed południem Malinowska dostała nową rolę, o której ledwie śmiała marzyć, wiedząc, jakie szanse ma za sobą inna. Na obiad przyszedł jej przyjaciel, składnik automobilów, Wiatrowski, starszy człowiek z zepsutym żołądkiem, który względnie trawienie zawdzięczał staranności, jaką go otaczała artystka. Malinowska łączyła ze znakomitemi warunkami do ról klasycznych, — majestatu pełną postawą, rysami rzeźbionymi, jakby przez autora Laokona, oczami zdolnymi do ciskania piorunów i głosem, stworzonym do niepokojenia bogów przeokrutnych, — wybitne zdolności do gospodarstwa domowego. Jej nalewki były słynne. Stary tragik, wyszły z kursu, Miodowski, udawał od lat już nieszczęśliwą miłość dla Malinowskiej, aby być pocieszanym przez te kordyały dobroczynne, które mu dawały ostatnie już źdźbła złudzeń. Wiatrowski



czasem się namyślał, czy nie ożenić się z Malinowską? Byłby może to zrobił, gdyby zagroziła mu utrata jej.

Jednak obiad dzisiejszy był niemożliwy.

Wiatrowski kładł łyżkę po skosztowaniu każdej potrawy.

Wkońcu nie mógł wytrzymać.

— Co za egoizm niezmierny — rzekł. — Dlatego, że ty dostałaś nową rolę, to ja mam dostać nowego kataru kiszek. Do takiego potwornego poświęcenia wszystkich i wszystkiego jest zdolną tylko aktorka. Ach, ten nieśmiertelny kabotynizm!

Malinowska czuła dziś w sobie pełno sił i tę napaść przyjęła z niezwykłą u niej werwą.

— Nic nie jesz przecież. Niema więc obawy o katar kiszek — odrzekła.

Wiatrowski się nadobrze rozzłościł:

— Pewno, że jak zdechnę z głodu, to nie będzie mnie trapił katar kiszek! — rzekł podniesionym głosem.

Malinowska poprosiła go, żeby nie krzyczał. Ta rola ma dla niej wielkie znaczenie. Oczekiwała ona lada miesiąc dymisyi właśnie.

— Wielka klęska — wtrącił ironicznie Wiatrowski.

— Pewno! — odcięła mu się. — Być wyłącznie na twojej łasce, to niewesołe...

Wiatrowski zmiękł zaraz, bo mniej zależna od niego kobieta stała się w jego oczach natychmiast droższą.

Przy czarnej kawie ukazał się Miodowski.

— Mam rolę! — zawołała doń radośnie Malinowska, gdy był jeszcze na progu.

— Jaką rolę? — zapytał stary tragic.

— Alceste! Patrz! Dziesięć arkuszy!

— To nie może być, — rzekł aktor.

W teatrze mówiono właśnie ogólnie już, że tę rolę dostała Nieciemska. Wziął w rękę zeszyt teatralny, aby sprawdzić fakt. I natychmiast zrozumiał, co to była za wyjątkowa okazyja do wypitki.

— Dali ci tę rolę?! Ależ kobieto, to się karyera otwarła na oścież przed tobą! Przecież to jest akt odrodzenia teatru! Początek nowej ery! Teraz wrócą ludzie do Kornela, Rasy, nawet Greków! Staniesz się wielką gwiazdą!...

Udzielał jej informacji o neo-kłasykach i o hałasie, jaki podnieśli oni w świecie. „Powrót z za świata” będzie wielkim świętem! Ach, co za szkoda, że on nie doczekał tych chwil, gdy był jeszcze czemś!?

Malinowska o tem wszystkim nie wiedziała. Rosła więc od wielkiego szczęścia. On zaś mówił szczerze, co wiedział i co myślał, ale nie dlatego to mówił, że tak myślał, lecz dlatego, że to mu dziś dawało wyjątkowe prawa do nalewek Malinowskiej. I kiedy ta, pełna radości i wdzięczności, udała się do kredensu, Miodowski zawołał za nią:

— O nie, dziecię drogie, o nie. Dziś dasz nam morelówki z piwniczki.

Ta morelówka miała lat dwanaście.

Wiatrowski się zdumiał. Czyżby Malinowską istotnie czekały wielkie tryumfy?! Jako wytrawny kupiec, wietrzył w słowach starego aktora przebiegłe szelmostwo. Jednak to miało także minę prawdy. Pospieszył więc naprawić błąd swej szorstkości i na pożegnanie pocałował Malinowską w rękę z czułym szacunkiem, przełożywszy tylko co wygłoszone idee na inną, wyższą tonację:

— Ach, te artystki! U nich sztuka po nad- wszystkim!...

W tym właśnie czasie dyrektor bronił interesów Malinowskiej przed niespodziewanym zgoła atakiem. Przyszła do niego Nieciemska i w stanowczych wyrazach zażądała dla siebie roli Alcesty.

Dyrektor zdziwił się temu bardzo, nie tracąc ani na chwilę wysokiej równowagi ducha.

— Co?! Ty?! Ty?! I rola Alcesty?! Kto w ciebie to wmówił?! Zrobiono ci kawał, mała. Ty sama tego nie mogłaś wynaleźć?! Jesteś zbyt rozsądna na to. Przyznaj się, kto wmówił wcie- bię tę chorobę?

— Kto? Cały teatr!

Istotnie, jej to samo do głowy przyjśćby nie mogło, bo o Alceście nic nie wiedziała i do- tychczas zresztą wie niewiele. Ale wieści trwożliwe i bezsensowne, jakie rozsiewał Fipka, padły

Powrót z za świata

tym razem na grunt bujny. Uwierzono w to, że nową rolę dał dyrektor Nieciemskiej, wieszono jej tego, zazdrośczone, informowano o doniosłości sztuki i roli i prędko napelniono ją wielką żądzą grania Alcesty. Gdy dowiedziała się, że Malinowska ma już tę rolę, uczuła się pokrzywdzoną i zdradzoną.

— Przestałeś mnie kochać! Puszczasz mnie w trąbę! — wołała dyrektorowi. — Bardzo dobrze! Dziś rzucam twoją budę i wyjeżdżam z miasta.

Miała ona jednak przed sobą męża silnego, który nie dlatego stanął na czele przybytku sztuki, aby uzyskać łatwy przystęp do pięknych kobiet. Nie. Traktował on świątynię sztuki poważnie i żądał od niej rzeczy trwalszych, jak dającego*się zamienić normalnie na dożywotnią rentę kapitału. Te panie, które łaski bliższe dyrektora uważały jako drabinę do wyższych stopni w artystycznej hierarchii, wystawione były nie- uniknienie na gorycze zawodu.

Z Nieciemską była jednak sprawa niełatwa. Jej głupota trudną się często okazywała do odparcia i zwycięsko wychodziła z rozpraw.

- Ależ to rola nie dla ciebie, dziecko — przekonywał ją dyrektor.
- Chcę się o tem właśnie przekonać.
- Tak?! I położysz mi sztukę?!
- Włożę po niej żalobę...

— Słuchaj, nierozsądna, to jest piła. Dziesięć arkuszy i to wierszem. Kiedy ty byś się tego nauczyła?!...

— Od czego sufler?!

— Próbami będzie kierować autor...

— Zrobię do niego oko...

— Oho! to ci się na nic nie przyda. To ideowiec!

— I ci są także mężczyznami...

— Ja wiem napewno, że on się na to nie zgodzi...

— To jaki obowiązek masz wystawić jego sztukę?!

— Widzisz, mnie na tej sztuce zależy bardzo...

— Tak? To znaczy, że na mnie nie zależy ci wcale?!

Zresztą, wyznała mu szczerze, że tu jest zaangażowane jej stanowisko w teatrze.

— Twoje stanowisko w teatrze? — dziwił się dyrektor.

— A tak! Wszyscy uważają, że to dla mnie rola. Jeżeli ja jej nie dostanę, powiedzą, że straciła wszelki wpływ na ciebie i zaczną mnie lekceważyć. Ja tego sobie nie życzę i już!

To było jej stanowisko w teatrze...

Dyrektor poczuł się przez chwilę gw kłopotcie. Słuchał teraz jej pretensyi z przymrużonemi oczyma, jak w sytuacjach trudnych. W tych razach instynktownie przymykał okien

nice nad oknami duszy, aby nie zaglądano mu niedyskretnie do wnętrza.

Wreszcie uśmiechnął się.

— Czuję, że ty dziś wydebisz odemnie tę mufkę sobolową, która od dwóch tygodni spać ci nie daje...

Nieciemska uśmiechnęła się także.

— W ostatecznym razie — rzekła dość pospiesznie...

Grała jeszcze przez pewien czas pokrzywdzoną, kierując się sprytem, jakiego wymagała „jej stanowisko w teatrze”. Ale w duszy wołała nową, istotnie wspaniałą mufkę od nowej roli, zwłaszcza gdy ta naprawdę miała dziesięć arkuszy wierszem.

Po wyjściu Nieciemskiej, która poleciała zaraz do sklepu, dyrektor zrobił sobie cyniczną uwagę, że jednak i wystawa sztuk neo-Idasyc-nych nie obchodzi się bez kosztów...

W tym momencie doręczono mu list Flora.

Mieściło się w tym liście kategoryczne żądanie roli tytułowej dla Joanny.

Odpisał mu zaraz: „Spodziewałem się tego* Wstąp pan dziś do teatru. Po spektaklu pójdziemy razem zjeść kolację i pogadamy”.

Flor stanął na schadzku bardzo przygotowany.

— Panie dyrektorze, ja wiem, że moje żądanie jest nierozsądne, — rzekł, nie pozwalając mu dojść do słowa, zanim nie wypowie wszystkiego. — Niech mnie pan nie próbuje przekonać,

te jestem smarkacz. Jestem. Wiem o tem. Idę wbrew interesowi własnemu, za co przygotowany jestem odcierpieć. I wbrew interesowi pańskiemu, co mi jest szczerze przykrem. Ale moje postanowienie nie da się ugiać. Nie pochodzi ono z zaślepienia, właściwego młodocianym wielbicielom płci pięknej. Ani ze słabości charakteru. Nie mam panu zamiaru robić śmiesznych zwierzeń, ale ogólnie powiem panu, żeby prędzej z tem skończyć, iż decyduje tu coś, co uważam za obowiązek mego honoru. Może jest to głupie. Ale nie przerobi mnie pan napocze- kaniu przecież. I o to nam wcale zresztą nie idzie.

I zrobił dyrektorowi natychmiast taką pro- pozycję:

— Panie, nie psujmy sobie apetytu do homara, który tak wdzięcznie się do nas uśmiecha z pod swej majonezowej wualki, i załatwmy tę rzecz krótko, po kupiecku, w jednym słowie. Bierze pan mój towar na tych warunkach, lub nie? Niech się pan przez czas kolacyi namyśli. Przy czarnej kawie powie mi pan: biorę — nie biorę.

Dyrektor milczał — i przymrużał oczy.

I obaj w skupieniu wbili swe widelce w różowe ciało homara.

Dyrektor prędko zrozumiał, co ma uczynić. Wiedział, że sprzeczka natychmiastowa z młodym człowiekiem byłaby jałowa. Zjadł więc

homara w milczeniu, obtarł potem wolno usta serwetą i rzekł:

— Więc ja się namyśliłem.

— I jakże? — zapytał Flor.

Zamiast słowa umówionego dyrektor wyciągnął do młodego autora rękę.

Flor uradował się. Uczucie ciepłe jakieś w nim wezbrało i walczył z chęcią ucałowania w oba policzki tego poczciwego dyrektora, który oszczędzał mu oto tak mile zarówno klęski odrzucenia sztuki, jak i ciężaru walczenia ostatecz- nemi środkami o autorskie prawo obsadzania ról.

Gdy się znalazł samotny na trotuarze puste} już ulicy, spuścił głowę. Obowiązek swój spełnił i rad był, że go spełnił, i wieszował sobie, że uczynił to tak małym kosztem, bez zażartej walki, na którą był przygotowany. Ale słodczy mu to nie przyniosło żadnej. O Joannie myślał teraz z goryczą i pretensją serca.

Deklamował sobie:

„Rozkosznie śniłem, srogo mnie zbudzono"..*

0111031101111111111011@^

V.

lor zapadł teraz na rodzaj choroby, dla której lekarstwem są ludzie. Poszedł ich szukać do kawiarni „Pod Nieskończonością* jeszcze przed zmierzchem, zrezygnowany na parogodzinne bodaj oczekiwanie pierwszego neo-klasyka, jakiego pocziwy los mu dziś ześle i który sprawi tę upragnioną przemianę, iż Flor przestanie być nareszcie w śmiertelnie nużącym obecnie towarzystwie samego siebie.

Los okazał się dziś dla niego ponad miarę łaskawym. „Pod Nieskończonością" siedział już najciekawszy z neo-klasyków, Durewicz, duch bystry, uwięziony tymczasem na kolei i na prowincyi, i oczekujący ze spokojną niecierpliwością dojrzałości momentu, w którym będzie mógł bez katastrofy dla swej rodziny (miał już żonę i dwoje dzieci) odesłać prowincję i kolej na dno czeluści piekielnych. Ten moment miał

przypaść jednocześnie z wystawieniem na scenie wielkiej wizji dramatycznej „Śmierć świętego Franciszka”, pisanej wedle najsurowszych wzorów klasycznych, z jednością czasu, miejsca, akcji, z trzema chórami na scenie: franciszkanów, aniołów i młodzieńców, rozdzielonej na prologos, parodos, epizody, stasima i exodos. Od czasu do czasu przyjeżdżał Durewicz do Warszawy, wykradał się najczęściej bez urlopu i z narażeniem swej posady, aby odetchnąć atmosferą sztuki, i wtedy „Pod Nieskończonością” było gorąco i krzykliwe, aż do gaszenia świateł.

Flor rzucił się Durewiczowi na szyję.

— Kiedyż cię bogi przyniosły?

— W tej chwili... Nie myślałem, że tak prędko zobaczę którego z was...

Poprawił się zaraz z radosnym uśmiechem:

— Którego z nas.

— Twoja sztuka?

— Doskonale!...

— Idzie?

— Poszła, tak, poszła. Dolatuję do końca...

— Przywiozłeś co do druku?

— Przywiozłem...

— To pysznie...

— Czytałeś atak „Latawca”?

— Naturalnie.

— I replikę Wackowskiego?...

— Bajeczna! Pilno mi go uściskać...

„Śmierć świętego Franciszka" drukowała się w piśmie, oddanem neo-klasycyzmowi, fragmentami, w miarę, jak je wykończył autor. Neo-klasycy odnajdowali tam ustępy niezrównanej piękności, ciekawo czytali je z zadowoleniem lub zdziwieniem, zwolennicy starych szkół poczynali je wydrwiwać.

— Co myślisz? — pytał gorączkowo Flor.

— Jesteśmy na dobrej drodze, niema gadania! Dość anarchii! Dość fałszywych wolności! Sztuka żyje przymusem! Inaczej wiersz nie ma żadnego sensu! A sonet?

Wpadli na ulubione tematy, w które włożyli już tyle życia i z którymi tak ściśle związali swoje „być albo nie być", iż powtarzanie i wygłaszanie jednych prawd, tez, argumentów, słów tych samych, w tej samej ustawianych kolei, ciągle żywą przynosiło im rozkosz. Flor uczuł się prędko zdrowszym na duszy.

Powoli przybywali inni neo-klasycy. Byli to młodzi twórcy, często bez twórczości; istotki słabe, oplatające się wokoło Flora i Durewicza, jak bluszcze przy murach; piszący zimne wiersze, w pocie czoła układane, i rozprawy estetyczne, chwalcące antyczną doskonałość niezdatną prozą i nawołujące do jasności myśli w ciemnych i zawiłych zwrotach.

Przybył i Wackowski, a ten nie należał do komparsów. Był główny bojownik obozu neo-klasycyzmu, polemista pełen werwy i dowcipu, natura ogromnie żywotna, spragniona nie

przekonań bynajmniej ani kierunku w życiu, lecz miejsca, pola, rozlewności, wypowiedzenia w jakiegokolwiek formie zasobów energii wyjątkowej. Przypadek zetknął go z neo-klasycami, stanowiącymi dopiero ziarno na szkołę artystyczną; śmiały jeden artykuł, w którym szukał jedynie tematu mniej od innych zużytego, mi- mowoli prawie postawił go w szeregu reformatorów. Polemika, jaką musiał przeprowadzić w obronie artykułu tego, dopełniła go przekonaniami neo-klasycyzmami. Stał się z powodu tej polemiki głośnym * i szanowanym w redakcyach. Zaprzął więc bez żadnych szczególniejszych namysłów i walk duchowych bogaty swój temperament i zdolności pisarskie do rydwanu neo-klasycyzmu. Uczył się w ogniu walki mnóstwa koniecznych rzeczy, o których nie miał pojęcia, choć • je już narodowi do czci podał; nie nauczył się ich nigdy dokładnie, ani gruntownie, i obcemi mu pozostały oba klasyczne języki, choć zapewniał świat, że niema bez nich zbawienia. Nie był bynajmniej blagierem zresztą, lecz tylko dyletantem, a że posiadał dwa bardzo cenne i rzadkie dary: temperament i talent, odgrywać począł rolę coraz to znacniejszą i oddawał neo-klasycykom usługi nieocenione. Dzięki jemu to stanęli oni w postawie bojowej, zorganizowani, śmieli do zuchwalstwa, żądający dla siebie miejsca na świecie, i to — pierwszego miejsca. On wprowadził bez żadnych wątpliwości „Powrót z za świata* na scenę.

Z jego ukazaniem się w kawiarni odżyła sprawa klasycyzmu „Śmierci świętego Franciszka”. Durewiczowi zarzucono, że temat jego, o ile chodzi o głębokie pojęcie klasycyzmu, powinien być traktowany w stylu misteryj średniowiecznych, i że stasimy franciszkanów to nonsens. Wackowski rzucił się z powodu tej krytyki na anarchię współczesną z ogromną furją i dowodził olbrzymiej wyższości estetyki greków nad wszystkim, co po nich wynaleziono, ponieważ ta estetyka najmocniej krępowała twórczość, czyli, bo to na jedno wychodzi, najpewniej prowadziła artystę po drodze sztuk. Durewicz dowiedzie właśnie jej uniwersalności. I rozpalony walką polemista zdradzał publice, choć nie upoważniony, nowy eksperyment, jaki zostanie przeprowadzony przez Durewicza natychmiast po niezawodnym tryumfie „Śmierci świętego Franciszka”: to „Starość Sobieskiego”¹ również z chórami, w epizodach i stasimach przedstawiona. I tu zaryzykował Wackowski porównanie roli chóru greckiego z rolą tłum w życiu nowoczesnym.

— Co pan myślisz o tem wszystkim? — dopytywał teraz ciekawie Durewicza, — czym nie zdradził pańskich idei i poglądów?

Durewicz wyraził mu swój zachwyt jedynie.

— Ależ świetnie, panie, świetnie...

Jednak nie wszyscy byli tego zdania. Gipski (na którego dziś czekano długo), nie podzielić odrazu analogii chóru greckiego z dzisiejszą

demokracją. Krytykował tę ideę Wackowskiego, rad, że ma temat łatwy do zaznaczenia swej odrębności w łonie grupy i nie przestając ani na moment aspirować do pierwszej w niej roli. Powtarzał teraz do umęczenia, iż neo-klasyczna sztuka musi być sztuką arystokratyczną i gniewał się na tych, którzyby gotowi byli szukać dróg własnych w absolutnej odległości od dróg bezpośrednich swych poprzedników. To właśnie byłoby ekskluzywne, a więc mało klasyczne. Jednych ten pogląd pociągnął, innych zastanowił, inni nie dobrze go zrozumieli. Cel został osiągnięty: bez Gipskiego nie zajdzie w grupie nic stanowczego! On musi dać każdemu ruchowi sankcję!

Przyszedł oto wkońcu, już po dziesiątej, i Gipski. Nie mógł wcześniej, bo był na posiedzeniu rady pedagogicznej w swej szkole. Oczekiwano teraz walnej rozprawy przy udziale Durewicza. Ale do niej nie doszło.

— ^ Słuchaj cie-no, — zapytał Gipski Flora odrazu, — to jest omyłka w pismach wieczorowych. Dają one obsadę waszej sztuki i nie wymieniają Malinowskiej?!...

— Nie, to nie jest omyłka, — odpowiedział Flor, nagle pochmurny.

— Już było postanowione?!... Ułożyliśmy się ?!

— Tak, ale ja się potem rozmyśliłem...

Gipski był wściekły i wrzał w sobie. Wyobrażał sobie, iż została tu naruszona powaga

jego i podejrzewał, że Flor pewnie uczynił to umyślnie i podstępnie, zazdroszcząc mu wpływu. Co powinien był, w jego chorobliwym wyobrażeniu, uczynić młody autor, to uprzednio jego się poradzić, jego niejako o sankcję poprosić. Możeby wtedy w łaskawości swej, i widząc, że tu nie chodzi o zdyskredytowanie go, na tę zmianę przystał?!...

Podrażniony więc przerzucił całą rozmowę na „Powrót z za świata”, do czego mu zaraz pomógł Durewicz, zawstydzony, że sobą i swoją sztuką zajmował uwagę towarzyszków przez tyle czasu, podczas kiedy oto tak pierwszorzędna sprawa neo - klasyczna stoi na porządku dziennym.

— Słuchajcie, to nie ma sensu! — zaczął dowodzić Gipski.

Atmosfera zrobiła się zaraz ciężka i niewyraźna. Wszyscy wiedzieli o stosunku Flora do Joanny, ale stosunek ten pokryty był walem dyskrecyi, który jeden Flor mógł podnieść, a on go nigdy nie uchylał. To też jeden Durewicz tylko, do którego nie dochodziły plotki warszawskie, począł podtrzymywać Gipskiego w tej śliskiej dyskusyi. I stanął na gruncie tezy Gipskiego, wedle której nie wolno było Florowi bezwzględnie rozporządzać sztuką, od której powodzenia albo upadku zależny jest w takiej mierze cały neo-klasycyzm.

Wackowski stanął po stronie Flora: g

— Nie, to jego rzecz — mówiły.'

Gipski jednak tak zażarcie dowodził, że to aiie jest właśnie jego rzecz i że wszyscy oni mają prawo ratować sztukę i ratować interes samego autora, choćby wbrew niemu samemu, że większość wyraźnie, choć dyskretnie, stawiała po jego stronie. Wokoło stołu kawiar-nianego zapanowało niewypowiedziane, jednak dokładnie odczuwalne przekonanie, że Flor jest lekkomyślnym i namiętym człowiekiem, który gubi kierunek zbawczy, niszczy wspólne a szlachetne wysilenia, i prowadzi do klapy własną sztukę, która zapewniłaby mu karierę. A Gipski, rozpierany przez złość, umie sugerować kółko, jak daleko chce. I na Florze kładą się już spojrzenia, nietylko pełne wyrzutu, ale i szyderstwa, albo niemniej ciężkiej litości, że oto ten tryumfujący jeszcze wczoraj poeta jest gubiony przez kobietę, która pewno z nim igra, a w każdym razie go wyzyskuje.

Durewicz robi ciągle miny zdziwione.

Wkońcu rzuca Florowi napełnione maksymalną naiwnością pytanie:

— I cóż ci zależy na tej aktorce?

Nagle, długie, wymowne milczenie, skomentowane paru mimowolnymi uśmiechami, wprowadza go wreszcie w rdzeń sprawy. Rumieni się, przeklina w duchu swą niezręczność prowincjonalisty — i milknie.

Flor milczy i cierpi głęboko.

Odczuwa on, że stoi, jakby obnażony przed iylu spojrzeniami niedyskretnymi, i że wszystko,

co tu jest dyskrecją, ubezwładnia go właśnie, a więc również przeciwko niemu staje. Nie wyłoży on przecież przed nimi całej sprawy? Nie powoła on ich przecież na swoich sędziów? Ach, żeby już mu dali, do diabła, spokój?! Zaczyna zbyt ciężko płacić za napisanie „Powrotu z za świata”. Gipski, doprawdy, zbyt głęboko wtrąca się w nieswoje sprawy. I powstaje we Florze uczucie bliskie nienawiści dla Gipskiego, które wita chętnie jakoś, niby gościa, na którego się oczekiwało. Ma on oddawna instynktowną niechęć do Gipskiego i rad jest oto, że ma teraz za co go nie lubić.

Rozdrażniony wstaje, żegna towarzyszy i wychodzi.

Teraz rozmowa za stołem staje się zupełnie swobodna. Gipski mówi bez osłonek. Nikt Flora nie oszczędza. Niektórzy radzi są, że się wymyśla na towarzysza, któremu niczem dorównać nie byli w stanie. Wackowski jeden się waha. Durewicz jeden szczerze Flora żałuje. Wszyscy myślą zaś, że Gipski to „łeb”, i że pewno temu właśnie człowiekowi najgłębiej, najmocniej i najszczerzQ chodzi o dobro neo- klasycyzmu.

VI.

zez trzy dni Flor już nie odwiedził Joanny. Nie ciągnęło go teraz do niej nic. I szybko serce jego zapominało ten zawód. Flor zawsze zdawał sobie sprawę i była miłość wielka, o jakiej marzył ciągłymi snami niespokojnej młodości. Nic ona w jego życiu nie przemieniała, nic w niem nie budowała, ani niszczyła! Była dekoracją i deserem. Przy boku Joanny nie przestawał o tej wielkiej miłości myśleć i marzyć i zaglądał nieokreślonymi a tęskniami obrazami w mistyczną przyszłość swą, gdy kobieta jakaś (kto ona jest? gdzie żyje? jak wygląda?) spełni wobec niego błogosławioną rolę anioła, albo szatańską lunkcę demona. Rozumiał to jasno, że w miłości prawdziwej, wielkiej, niema miejsca na myśli o przyszłych rzeczach, i że żyje się wtedy jakimś nadmiarem rzeczywistości i terażniejszości.

Ale był pełen poczucia jakichś rycerskich obowiązków wobec Joanny i miał mocne postanowienie tym obowiązkom nie uchybić. W głębi jego młodej, świeżym idealizmem nasiąkłej, a konsekwencyj spragnionej natury, leżała uświadomiona potrzeba posłuszeństwa ideałowi sprawiedliwości.

— Wszystko wziąć i nic nie dać?!

Brzmiało mu to w duszy trywialnie, boleśnie, ale przekonywująco.

Uważał, iż, na szczęście, ma czym się wypłacić. Ale, że obraziłby bezprawnie Joannę i uchybił czemuś bardzo drogiemu, co piastuje w duszy i dzięki czemu czuje się wyższym od tłumu, gdyby prostą spłatę długu uważał za zakończenie jednoczesne, sumaryczne i hurtowne całej idyli. Nie wiedział zaś dobrze, jak to wszystko zrobić. Życie jego straciło teraz niedawną, tak pyszną, jedność, w której czuł się niemal równy bogom greckim, choć nie był to dla niego kres, ani szczyt szczęśliwości. I o bliskich już próbach „Powrotu z za świata” rozmyślał bez poprzedniej radości.

Krępowało go najżywiej tymczasem to, że zarówno jego nieobecność jak i wizytę Joanna niezawodnie źle sobie będzie tłumaczyć. Pierwszą — tryumfem swej polityki. Drugą — chęcią odwetu, albo kokieterią małego kalibru z jego strony.

Powitał też z zadowoleniem liścik Joanny, który obudził go czwartego dnia po ich niepowrót z za świata

szczęsnej, ostatniej rozmowie, a w którym uprzejmie i chłodno prosiła go do siebie na obiad.

Jego pierwszy krok wobec niej ona sama w ten sposób wywołuje i pozwala mu stanąć w pozycji biernej, tak uspakajającej jego skrupuły młodego idealisty.

Narazie Joanna była, jak jej list: grzeczna i chłodna.

— Dano mi rolę. Dziękuję...

— Czyż mogło być inaczej z chwilą, gdym został oświecony, o ile ci na niej zależy?!

Zresztą — powinienem był sam to odgadnąć. Rebus ten był łatwy.

— Nie byłeś u mnie tak długo?...

— Krępowiałem się...

— Czem? .

— Tą historią. Moją głupotą, jeżeli wolisz...

— Zostaniesz na obiedzie?

— To dobre?! Naturalnie...

Obiad przeszedł, niby ceremonia bardzo skomplikowana.

Ale w tej klasycznej atmosferze Joanna nie mogła wytrwać zbyt długo. Drażniło ją to, że Flor nie sięgnął ani razu po jej rękę, nie dopuścił się żadnej względem niej poufałości, nie powiedział jej ani jednego pieszczotliwego słowa.

Wzruszyła więc ramionami pogardliwie:

— On się obraził, doprawdy?!

Gest jej dopowiadał mu, że nie miał do tego żadnego prawa.

— Nie, nie obraziłem się, uspokój się, jeżeli cię to niepokoi...

— O! ani trochę! — odcięła się.

— To dobrze — odrzekł.

Pili długo czarną kawę. Rozmowa wpadła jakoś na literaturę i Flor opowiedział Joannie ostatnie sceny „Śmierci świętego Franciszka”, które się ukażą za kilka dni w piśmie, a które są bardzo piękne. Chór młodzieńców, do których przenikać poczyna zrozumienie i łaknienie świętości, zgodzenie woli swej z wolą Dobra, jest wprost arcydziełem.

— To będzie grane? — zapytała Joanna.

— Ma się rozumieć.

— Kiedy?

— O! nieprędko! Durewicz jestto pan z białego marmuru. Da dzieło doskonałe. Każdy wiersz jego w bronzie będzie wryty. Choć mu pilno do Warszawy, nic nie poświęci dla tej niecierpliwości swej ze skarbu sztuki. Niecierpliwi się, narzeka, cierpi, ale nie jest zdolny spieszyć się.

Joanna poczęła go także admiirować.

— Ciekawy pan?! — rzekła.

— Powiadam ci: z białego marmuru, klasyk, neo-klasyk.

Ale wkońcu dowiedziała się Joanna, że w sztuce tego pana z białego marmuru niema

ani jednej roli kobiecej. Jej myśl przestała się natychmiast zajmować tym przedmiotem.

Flor chce się nareszcie pożegnać.

— Już idziesz? — pyta Joanna, znowu podrażniona, ale grająca obojętność.

— Idę, — odrzekł.

Spojrzała mu w oczy, jakby pragnąc go odgadnąć. Ale widząc, że Flor utrzymuje się w tonie do ostatka, Joanna zmienia nagle głos i pozę, i cichym, poufałym, miękkim a zapraszającym głosem pyta:

— Nie zostaniesz?...

Flor odpowiada z lekkim uśmiechem: „nie* delikatnie, subtelnie i stanowczo.

Joanna teraz staje się pokorną i bardziej jeszcze pieszczotliwą. Składa usta, jak małe, nieszczęśliwe dziecko:

— Już nie kochasz?...

I bierze go za rękę.

— Nie — odpowiada Flor.

W jednej chwili zmienia się na heterę, przekonaną o swej władzy.

— Nie wierzę! — rzuca, patrząc mu w oczy szyderczo i wyzywająco.

— Miałbym co kłamać?—odpowiada Flor, bardzo rad, że Joanna daje mu tak łatwą i gładką okazyję do wyjaśnień ostatecznych.

— Więc co?! Więc co?! — woła Joanna, gotowa w tej chwili do wszystkiego: do dramatu i farsy, gniewu i płaczu, pogardy, cynizmu, żalu i rozpacz.

— Cóż? Zostaniemy przyjaciółmi... Będzie to idylla pięknie zakończona.

Joannie przypomniało się, że to ona właśnie rzuciła mu przed kilku dniami frazes o przyjaźni. Zdaje się jej, że on jej oddaje ten sam cios w akcie szermierki. To ją uspakaja. „Chce mnie dotknąć⁴,—przebiega jej głowę myśl, nawykłą do takiego rozumowania, — „chce mi dokuczyć?! A więc kłamie, a więc kocha”.

— Nie mam nic przeciwko temu — mówi ironicznie i wyniośle.

I pozwala mu odejść. Potem długo oczekuje jego powrotu w przedpokoju. Patrzy, czy nie poruszy się dzwonek. Wygląda na ulicę, czy on nie zawraca kroków. Zdejmuje ją nagły i silny żal wreszcie. Zdaje się jej, że żadnego mężczyzny nie kochała tak, jak tego właśnie. Biegnie do biurka i pisze do niego list:

„Przecież to nie sposób, abyś ty ode- mnie odszedł! Nie masz do tego prawa. Ty jesteś moim życiem! Przyjdź wieczorem! Koniecznie! Koniecznie! Koniecznie! Ach! sto razy Koniecznie!"...

VII.

list ten otrzymał Flor nad samym wieczorem i bardzo się zmartwił. Przez te kilka godzin oddawał się był właśnie pracy wewnętrznej nad odzyskiwaniem nadwerżonej jedności życia. Marzył on zawsze o takim splataniu się wszystkich linii istnienia w jedno wielobarwne pasmo, któreby biografii jego dały krój klasyczny, całość artystyczną, jakby doskonałemu dziełu sztuki. Zdawało mu się teraz, że wracał właśnie na dobrą drogę po krótkim zabłądzeniu. Poczul się wolnym wobec Joanny tą głęboką, wewnętrzną wolnością, jaką daje człowiekowi wypełnienie obowiązku. I tłumaczył sobie, że to go nie będzie kosztowało za wiele. Joanna jest przecież rutynowaną aktorką, zostanie doskonale wyuczona roli, a pewien brak istotny warunków, w tragedji, coprawda, dotkliwszy, aniżeli w repertuarze współczesnym, pokryje w części swą urodą kobiecą.

Wybierał się do kawiarni, aby przeprosić się z neo-klasykami. Flor posiadał tę niższość ludzi moralnych wobec innych, że łatwo przyjmował na siebie winę i posiadał skłonność do skruchy. O co, u licha, ja miałem wczoraj do nich pretensję?! — mówił teraz sobie. — Przecież im szło o naszą szkołę i o moją sztukę?! Gipskiemu przedewszystkiem! Jeżeli im się co odemnie należy, to tylko wdzięczność. Nie mogę im ustąpić, — to inna rzecz. Ale słuszość, górną słuszość, która na małości ludzkie patrzy z wysokości interesu człowieczeństwa, — to oni mają. Gipski przedewszystkiem!

Począł się Flor wyglądać ze zmarszczek na duszy i rozpromieniać po dawnemu. Tymczasem list Joanny zachmurzył go nanowo.

Westchnął, przeczytawszy go. Wie Flor dobrze, że nie jest życiem Joanny. Ale ma w sobie nadwrażliwość wobec skierowanych do niego krzyków ludzkich.

Joannę znajduje zmienioną. Cichą, uległą, bierną, pokorną. Włożyła na siebie najbardziej otwarty ze swych szlafroków, włosy przycesała gładko i skromnie. W jej oczach pali się jakby kaganek żalu zato, iż obraziła niebacznie swojego wielkiego człowieka. Jest jakby wosk, proszący się o energiczny a umiejętny palec modelarza.

— Doprawdy, nie chcesz mnie? nie chcesz? — pyta go cichutko, biorąc jego rękę delikatnem dotknięciem swych miękkich i ciepłych dłoni.

Flor czuje się zażenowanym tyle doskonałym brakiem u niej wszelkiej miłości własnej.

Takich prostych i odsłaniających nagość skomplikowanych rzeczy pytań nie powinny nigdy kobiety (a zwłaszcza aktorki) zadawać młodym chłopcom (a zwłaszcza poetom). Grozi im bowiem to niebezpieczeństwo (w stosunku do ludzi doświadczonych nieistniejące), że na te proste pytania mogą nastąpić proste także odpowiedzi. Tymczasem prostota takich pytań jest wielce subtelną i wyrafinowaną a przeznaczoną na odstraszenie właśnie prostoty odpowiedzi.

Flor więc doprawdy Joanny już nie chce. I dziś, gdy czuje tak ostro ku sobie wymierzone przebiegłość i bezwstyd, bardziej jej jeszcze nie chce, aniżeli wczoraj...

Stara się to powiedzieć jej w mniemaniu, iż idzie ku ostatecznemu wyjaśnieniu i o mało przytem nie wikła się w sprzecznościach w pogoni za najdelikatniejszą formą swego kategorycznego „nie”.

Joanna wydaje się bliską łez.

— Nie? Nie? Powiedz — dlaczego? dlaczego?

Flor czuje się odrazu na pewniejszym gruncie, gdy idzie o psychologię i moralność.

— Dziecko, przecież pieszczoty bez miłości to rozpusta...

— Bez miłości?! Więc mnie nie kochasz? Wcale? Dlaczego? Dlaczego? Powiedz? Zraziła cię moja proza? Prawda?

— No... tak.

— Tobie się zdaje, że mi szło tylko o teatr?! Dzieciaku?! Jak ty nie znasz kobiet... takich, jak ja! To jest takich, które są więcej kobietami, aniżeli aktorkami. Flor! przecież ta rola była nam swatem i kapłanem. Ona nas poznała ze sobą i połączyła. Kochaliśmy się, ucząc się jej. Uczyliśmy się jej, kochając się. Jak ty mogłeś być tak ślepy i okrutny, aby pozwolić mi wydrzeć to moje wielkie, podwójne dobro?!...

— Byłem ślepy tylko. Wystarczyło mi otworzyć oczy.

— A jam cię obraziła? znieważyla?... I tego mi nie możesz darować?!...

— Tyś mi przedstawiła rachunek do zapłacenia...

Joanna odczuła to, jak uderzenie, jako akt chłosty — i ulgę to jej zaraz przyniosło. Jakże byłaby w tej chwili szczęśliwą, gdyby Flor ją wy tłu kł pięściami i skopał, — pomimo jej tak starannej wytworności w sprawach miłosnych! Może nawet — z powodu tej tak starannej wytworności!... Szło jej bowiem teraz naprawdę o tego chłopca i znieść jej było ciężko i boleśnie staranną wytworność jego obojętności.

— Dobrze, — rzekła — mów, bij, wal...

— Ty miałaś rację, kochanie. Byłem ci winien rolę prostym długiem, jak się mówi

w handlu. A ja nie mam wstrętu do brzydkiej czynności płacenia rachunków. Tylko są różne sposoby przedstawiania rachunków. A ty użyłaś najmniej wykwintnego. Tyś tak wystąpiła do mnie, jakbyś od samego początku łaskę swoją uczyniła przedmiotem milczącej, ale rozumiejącej się sama przez się wymiany. I jakbyś miała do czynienia z oszustem. Serce moje się oburzyło wtedy i miłość w ogniu oburzenia tego uległa katastrofie. Spaliła się.

Joanna zrozumiała na jak złą weszła drogę. Odrzuciła więc pokorę i cichość swoją jedną szybką zmianą wyrazu twarzy.

— Jakiś ty okrutny, Flor! I jakiś ty głupi! I jakiś ty z tem wszystkim piękny!

Patrzyła na niego wzrokiem bystrym, palącym i cynicznym.

— Co mnie twoje serce obchodzi? — zawołała. — To jest idyota! Będziemy się kochali bez niego. Wyrzucimy je za drzwi, by całować się swobodnie. Ty nie wiesz, co posiadałeś, Flor, i nie masz pojęcia, co stracisz?...

Czuje ona niższość swą w sytuacji, jaka się między nimi wytworzyła, i nadrobić ją pragnie swą wyższością życiową, jaką zawsze wobec Flora uświadamiała sobie, wyższością nabytego doświadczenia, przeżytych lat, ustalonego w ogniu praktyki ^poglądu na rzeczy świata.

Czyż on nie widzi, jak piękną kobietę ma za kochankę?! Na to przecież nie trzeba serca,

tylko oczu, zmysłu artystycznego, poczucia kobiety, jakie mają niektórzy ludzie inteligentni[^] malarze przedewszystkiem. Skałkowski tyle razy jej mówił z zachwytem, że Henner, największy malarz kobiecego ciała, subtelniejszy od Rubensa, „wściekłby się, gdyby ją poznał”... Ileż czasu Skałkowski nachodził się, aby otrzymać od niej trochę łaski, — i nic nie otrzymał... Flor zdobył Joasię zbyt [łatwo. Okazała się dla niego zbyt dobrą, zbyt przystępną. Dlatego ją lekceważy. Ach, inaczejby on przemawiał do niej, gdyby kazała mu siebie wysługiwać w długiej, ciężkiej, bolesnej służbie, w którejby nie oszczędzała ani jego serca, ani jego interesów, ani jego miłości własnej?!

— Przemawiałbyś do mnie wtedy wierszami, mój poeto! — wola do niego z gryzącą ironią.

Flor patrzy na nią z ciekawością. Myśli sobie: „Może... Pewnie...” Czuje się w głębiach swej duszy stworzony do miłości drogo opłacanej. Ale obecnie ogarnia go jakby przerażenie, iż tak opłacać właśnie mógłby był, przy niewielkiej zmianie składu okoliczności, miłość., do Joasi?!...

Tem większej ceny nabiera dlań wyzwolenie.?

— Czy ty wiesz, co to jest miłość?! Czy ty wiesz, co to jest życie?! — mówi mu Joanna. Nie, on nic nie wie. Jemu się wydaje, że to są sztuki klasyczne?! Joasia pochyla się nad

nim z uczuciem wyrozumiałości i dobrotliwości. Tłumaczy mu, że nie można przykładać talentu, jako miary, do rzeczy życia. Świat jest zły i zmusza wszystkich do walki. Ofiaruje siebie dobrotliwie, jako przewodniczkę i zapewnia, że będzie Florowi dobrze służyć. Wygodnie im będzie razem. Ona jest trzeźwą.

— Piękne kłamstwa?!...

I owszem. Będą się stroić w nie, skoro im przyjdzie do tego taka fantazja. Ale tem nie można przecież żyć, — chyba bardzo nieszczęśliwie.

Z wysokości swego doświadczenia nadawała mu teraz pieszczotliwe nazwy, które miały jego niższość wymierzyć.

Mówiła mu:

— Moje ty kurczątko... Mój ty wróbluku...

I wkońcu poinformowała go, że:

— Miłość to jest raj i zarazem to jest spółka.

Flor uznał w duszy całą rację takiego poglądu.

— Czy my jednak jesteśmy dobraną spółką? — podjął.

I zaczął jej łagodnie ale wymownie, bo

2 przekonaniem, tłumaczyć, — że nie.

Są oni ludźmi z dwóch planet. Piękne kłamstwa?! A od kogoż to zależy, że są one piękne? i że są one kłamstwami? Jemu chodzi o to, żeby się dociągnąć do tych piękności, wtedy przestaną one być kłamstwami. Choć dociągać się

wreszcie. Życ w dążeniu i wysiłku. Choćby „niebezpiecznie”, jak radzi Nietzsche. Bez tego życie jest jednym skomplikowariem plugastwem. Nie warto jest żyć. Flor by też na życie bez „pięknych kłamstw” poprostu plunął i poszedł tam, skąd wróciła jego Alcesta.

— Niedawno ja chciałem cię uczyć, teraz ty — mnie. Oboje pokazaliśmy sobie jednakowe fałszywe apetyty. Faktem jest bowiem, że żadne z nas nie przyda się, jedno drugiemu, ani na nauczyciela, ani na ucznia.

Joanna poczuła się na dziś zwyciężoną. Zrobiła smutną i znowu skromną minkę na pożegnanie.

— Ale zostaniemy przyjaciółmi?...

— Oczywiście, Joasiu...

— Tylko przyjaciółmi?...

— Tylko przyjaciółmi...

— Ty wiesz, że ludzie się śmieją z przyjaźni mężczyzny i kobiety?...

— To nam nie zatruje życia...

— Ale będziemy dobrymi przyjaciółmi?...

— Zobaczysz...

Uśmiechnęła się melancholijnie i cynicznie.

— Więc do widzenia, przyjacielu...

Flor wyszedł, jak z łaźni, ocierając pot z czoła. Jakże rad był, że rozdzieliło się oto tak rychło to, co nie powinno było się łączyć. W dzisiejszych rozmowach wyszły na jaw ostatnie reszty różnic ich dusz, temperamentów, upodobań, ambicyi, dążeń, moralności. Pozostała

jedną przecież rzecz im wspólną: przeszłość. Flor przyglądał się światowi pod kątem wieczności i uważał, że ta rzecz połączyła ich na zawsze. Nie przysługuje mu prawo zapomnienia o tym, że ta kobieta mu się oddała i że przeżył z nią cząstkę życia w upojeniu. Nie zapomni, jest co do tego całkiem spokojny. I nie rzucał słów na wiatr, gdy mówił Joasi o przyjaźni.

— Taki mój los, — myśli. — Jeżeli mi nawet wejdzie co kiedy w rękę, to zaraz wypuszczę.

Nie może pojąć, jak to ona tak głupio i bezmyślnie, pod wpływem podłych nerwów, wypuściła oto Flora, człowieka, który dawał jej rolę w teatrze i poezję w miłości?!

Szuka jeszcze zrozpaczoną myślą sposobów.

I wpada na nowy pomysł.

„Mój drogi przyjacielu, — pisze do Flora nowy bilecik, — przyslij mi gramatykę łacińską. Tak dawno mi to obiecałeś?!..”

Otrzymuje żadaną książkę tegoż dnia i bierze ją z lubością w ręce. Ogląda na wszystkie strony, nie spiesząc z otwieraniem do środka

VIII.

oasia ma rolę, ale straciła autora. Więc już się, swoim zwyczajem, martwi: jak to będzie z rolą, w następnej jego sztuce? Poddaje się I wielkim żalom.

i kładzie ją w najintymniejszym miejscu swego mieszkania, tam, gdzie najczęściej jej oko przychodzi błądzić między ulubionymi przedmiotami, towarzyszami życia, — na toalecie. Ta książka jest jej drogą. I nie widzi nawet brzydoty jej oprawy, ordynarnej oprawy szkolnej w czarne płótno, niedokładnie i niezgrabnie zawinięte na rogach.

Przez cały tydzień leży gramatyka łacińska na wykwintnym mebelku kobiecym, wśród kryształów z perfumami i wyślaczanych pudełeczek, ukrywających kosmetyki. Leży, wywołując skandaliczne zdziwienie sąsiadów, odbijające się tak jaskrawo w lustrze o rzuńniętym kancie przy mahoniowej ramie i sama zdziwiona, zażenowana i żebrząca o zstąpienie z tych szczytów, sterczących tak dumnie.

Zdobywa się nawet gramatyka łacińska na inicjatywę i bardzo często wchodzi w rączkę Joasi, szukającej akurat sac a houppe albo imail du Tintoret. Coraz to przekłada Joasia gramatykę łacińską z jednego miejsca swej toalety na drugie, szepcząc sobie:

— Wezmę się, wezmę się jutro...

Jutro pewno także się nie weźmie. Ale co zrobi prędzej w jakie niedalekie już jutro, to wynajdzie dla gramatyki łacińskiej trochę spokojniejsze dla niej w swoim lokalu miejsce.

Zanim jednak zdążyła tę konieczną reformę przeprowadzić, odwiedza Joasię księżę Miccio.

— To ty?! ty?! — wita go Joasia oczami, pełnemi zdziwienia i duszą pełną radości.

Nic jej, istotnie, tego niespodziewanego momentu radości nie truje, ponieważ ma na sobie ponsową bluzkę, w której jest jej wogóle ładnie, a przypomina sobie, że ksiązę lubił ją zawsze w ramach jaskrawych.

Prowadzi go do buduaru, ugrzeczniona, jak wielka dama.

— Cóż za rzadki gość?!

Ma chyba prawo nazywać go rzadkim gościem, ponieważ ksiązę Miecio nie przychodzi już do niej nigdy. Ostatni raz był w tem mieszkanku (gdzie wszystko do dziś dnia świadczy o jego guście) przed trzema laty. To była jego wizyta pożegnalna. Ksiązę Miecio doszedł właśnie do przekonania, że Joasia nie jest wcale zabawna, i oznajmił jej, iż sprawi mu prawdziwą przyjemność, jeżeli zacznie go zdradzać.

Teraz przypomniały mu Joasię wzmianki

0 niej w pismach, zrazu przelotne, potem coraz częstsze i natarczywsze, — (wzmianki, któremi zabiegliwy dyrektor współpracował właśnie nad przygotowaniem tryumfu neo - klasycyzmowi). Ksiązę Miecio był zaś arystokratą nietylko z rodu

1 pochodzenia, ale i z wyboru, z duszy: nieprzeparty urok miało dla niego wszystko, co błyszczący. A czemuż jest wzmianka teatralna w piśmie, jak nie migotaniem światełka, którego promyczki zbiegają się na blask sławy. Gloire?! Ksiązę Miecio nie mógł być na to obojętny.

■ Powrót z za świata

○

Nie należy sądzić jednak źle tego jaśnie pana, zacołanie bowiem nie leżało w jego istocie, — loin de la — szedł zawsze z postępem i drogim był mu duch nowożytny, nikt bowiem bardziej od niego nie żył ostatnim, najświeższym numerem kuryerka. Wyczytawszy w tym kuryerku dwie wzmianki o Joasi, dzień po dniu wydrukowane, pokręcił głową i szepnął sobie:

— Dziewczyna idzie w górę.

I przypomniał sobie, po raz pierwszy od trzech lat, że:

— To była piękna dziewczyna...

Potem, trzeciego dnia bezpośrednio, znalazł nową o Joasi wzmiankę.

W tej chwili postanowił pójść do niej „nareszcie” — i oto jest.

— Grasz rolę, słyszysz? — zapytał, usadowiwszy obfite swe kształty w fotelu, — który był niegdyś „jego fotelem”...

— Ba?! I jaką?!

— Wiem, wiem. Ja jestem zawsze a jour. Out. Powiedz mi tylko, proszę cię, moja droga, co właściwie jest ten tam neo-klasycyzm. Czy to, doprawdy, takie bardzo interesujące?!

Czy to jest bardzo interesujące?!

Któż lepiej go o tem poinformuje od Joanny?! Ona jest przecież w samym środku, w samem sercu tego nowego, młodego, wspaniałego ruchu artystycznego, który odrodzi teatr, literaturę, świat cały.

— Nie? co ty mówisz? — dziwi się książe.

— To nie ulega wątpliwości. Jak kiedyś romantyzm! Jak w swoim czasie realizm! — woła Joasia z rosnącym, w miarę wywieranego wrażenia, przekonaniem.

Książę Miecio mruczy:

— Romantyzm?! wiem, wiem... Realizm?! a jakże, a jakże...

Jak to się stało? Poprostu, bardzo po prostu, niema i nie może być nic nad to prostszego: przyszedł człowiek młody i genialny, który odczuł wyczerpanie, na jakie chorą jest dusza współczesnego znużonego świata, i przyniósł jej lekarstwo. Tem lekarstwem jest, jak zawsze, nowa sztuka. Genialny człowiek nazywa się Floryan Romanowski. Pierwsza jego sztuka, to „Powrót z za świata”.

I w środku tych podniosłych obserwacji wtrąca Joasia, jakby mimowoli, jakby się zdradzając, czuły szept:

— Kochany Flor...

Książę Miecio pyta tonem dyskretnym i niby bez nalegania, a jednak ze szczerą ciekawością:

— To jest... twój przyjaciel?..

Joanna milczy.

— Pardon — przeprasza zaraz książe.

Ale Joanna robiła tylko — pauzę artystyczną.

— Proszę bardzo — odrzekła. Tak, to jest mój przyjaciel. Najlepszy przyjaciel. Nie będę

się przecież wstydziła tego, co mi tylko zaszczyt przynieść może.

— Zapewne... zapewne... Ale, właściwie, na czym polega ten neo-klasycyzm?..

Joasia czuje się doskonale w swoim żywiole. Przypomina sobie to wszystko, czym Flor ilustrował swoje wizyty, gdy uczył ją roli. Jego opowiadania o dysputach, toczonych „Pod Nieśmiertelnością”. Jego nadzieje na przyszłość najbliższą i trochę dalszą. Jego zachwyty nad „Śmiercią świętego Franciszka”. Mówi więc wszystko, co wie, co sobie przypomina, bez porządku i związku, ale z akcentami doskonale stawianymi, bo z aktorską sztuką naśladowniczą powtarzającymi jędrne, pełne wiary, zdobywcze gesty Flora.

Książę Mićcio jest olśniony. Ten namiętny wielbiciel dnia dzisiejszego po raz pierwszy w życiu zagląda oto w jutro, w tę kuchnię, gdzie się przygotowuje to, co jednego dnia niedalekiego stanie przed nami, jako pełne niespodzianki dziś, o którym wszędzie się mówi: w klubie, w salonie, i w palarni papy. Nowy urok otacza księcia. On już dziś może dowiedzieć się o „Powrocie z za świata” wszystkiego, o czym nikt z jego świata nic nie wie. To jakby cyganka, ale taka prawdziwa cyganka, przepowiadała przyszłość, rzeczywistą przyszłość. Jest to szalenie ciekawe. Wiedzieć np. dziś, co kuryerek będzie pisał za miesiąc?!... Dusza księcia Mićcia pływać zaczyna po morzu nieznanym wzruszeń.

— Tego bym nie wiedziała? Za kogo ty mnie bierzesz?

Książę Miccio dopytuje jeszcze o „Powrót z za świata”.

— Sztuka grecka, rozumiem. Ale przecież ona napisana po polsku?

— Naturalnie.

— To poco ci grecki język? A może w tej sztuce są przeplatane rozmowy polskie greckimi zdaniami, jak się u nas wtrąca francuskie? Nawet na scenie czasami. Sam słyszałem...

Joasia tłumaczy mu potrzebę, konieczność greczyzny dla człowieka dzisiejszego, a zwłaszcza jutrzejszego, a ponieważ w tej chwili pamięć dopisuje jej dzielnie, tłumaczenie to jest bardzo inteligentne i wytworne.

— Powiem ci, droga Joasiu, — rekapitułuje książę Miccio swoje dzisiejsze, tak bogate wrażenia, — żeś bardzo się wyrobiła. No, no?! Jesteś bardzo ciekawa...

Joasia odpowiada z genialnym spokojem:

— Wiem o tem. Mówią mi to najinteligentniejsi ludzie na świecie. I często.

Książę Miccio uśmiecha się i dowcipkuje:

— Widzisz, że ja do nich należę. Zresztą, odkryłem cię przecież przed nimi.

Potem przychodzi mu „myśl”:

— Chcesz, to zaproszę dla ciebie kilku moich przyjaciół. Zjemy sobie kolację gdzieś za miastem. Zbliżysz ich do neo-klasycyzmu. Będziesz miała za sobą na premierze, a i twój

genialny Flor, — nie omyliłem się w imieniu?

— nasz klub. Przy czarnej kawie zaś poprosimy cię o zadeklamowanie kawałka Alcesty. Alcesty? Zgoda na wszystko? Będziemy mieli małą premierę avant la lettre.

— Pewno, że to będzie piękniejsze, aniżeli opowiadanie sprośnych anegdotek, którymi się kończy każda wasza uczta...

Książę Miccio otrzymał wychowanie bogobojne i to właśnie niepokoiło go często i ztruwało mu nieraz rozkosz życia. Ten zwrot Joanny trafił mu więc gdzieś głębiej pod serce.

— Jak ona się wyrobiła i wyszlachetniała?

— myślał zdumiony.

Przebiegł jeszcze gramatykę łacińską.

— Plusquamperfectum: fueram, fueras, fue- rat, fueramus, fueratis, fuerant. A jakże..

Potem się pożegnał z Joanną.

— A bientót, zatem.

Wziął jej rękę i podniósł do ust

— Można? — zapytał, całując.

Odwrócił potem rękę jej dłonią do ust.

— I tu można? — całował.

Szukał oczami jej ciała wszędzie tam, gdzie się ono wychylało z ubrania i przypomniał sobie wszystkie jego wytworności i przepychy.

— Jesteś ipalante! — rzekł jej na zakończenie tej długiej rozmowy o neo-klasycznym odrodzeniu świata.

racyi zamiejskiej. Na próbę przyszła Joasia pewna siebie, spokojna wewnątrz, jak od lat nie była i już roztargniona wobec tych, z którymi stanowiła w teatrze stronnictwo niezadowolonych. Z Florem była miła i dość swobodna. Flor czuł dla niej szczególną wdzięczność za to, że miłą była w samą miarę, ani zamało, ani zwłaszcza zanadto. Na próbie już odnosiła jakby pierwsze sukcesy, ponieważ mówiła całą rolę z pamięci i nawet bez pomocy suflera najczęściej. Nie pochwalono jej wprawdzie za to, ale zwymyślano za próżniactwo wszystkich innych aktorów, co jej było znacznie przyjemniejsze.

IX.

ierwsza próba, „Powrotu z za świata” odbyła się nazajutrz po wyszukanej uczcie, jaką wyprawił książe Miecio dla Joasi i kilku wy- I kwintnych klubowców w restau-

Tymczasem Malinowska nie pogрузyła się bynajmniej w rozpacz. Uczyla się ona także roli Alcesty. Uczyla się jej gorliwie, zapalczywie i w tajemnicy. Dyrektor jej nie odebrał roli. Osądził on, że tu chodzi o grę, może grubą, i wysilił swój spryt, aby pomódz uśmiechającemu się doń szczęściu. Ułożył więc plan, który Joasi wydałby się niezawodnie szatańskim. Dał rolę Alcesty Malinowskiej do dublowania. Miał prawo do tej ostrożności. Joanna może zasłać, może się przemęczyć samem powodzeniem sztuki, może zająć wreszcie: „Bóg wie co”, na co dobry dyrektor zawsze powinien się przygotować, tembardziej, gdy ma w ręku sztukę, na którą tak liczy. Wprowadzenie na scenę przygotowanej do grania Malinowskiej będzie wymagało osobnej zręczności, zwłaszcza wobec Flora, któregooby nie można, jak chłopczyka, prowadzić na pasku i który w teatrze na próbach zachowuje się ze śmiałością i pewnością siebie, jakie rzadko kto z najstarszych wyjadaczów pokazuje. Ale dyrektor także jest siebie pewien. Na pomysle mu nie zbraknie. Już ma jeden w głowie, — godny siebie: np. zaprosić Joannę z Florem na późny obiad za miasto, upić ich, zapewnić, że przedstawienie „Powrotu” jest zastąpione byle czem, „Intrygą i miłością” dajmy na to, dać zaś „Powrót” z Malinowską, a cichaczem i zręcznie poprosić choć kilku recenzentów. Nazajutrz będzie miał Flor już do czynienia „z całą prasą”...

Dyrektor, który posiadał, jako dawny artysta, nieco wyobraźni, imaginował sobie już słodko, jakie oczka zrobi Joasia, gdy nazajutrz rano, przy kawce śniadanej, przeczyta w „Porannym Fajerwerku” recenzję z Alcesty Malinowskiej ?!

Był to zresztą człowiek, któryby dla takiej nawet satysfakcji czystej nic poważnego nie przedsięwziął. Szło mu o teatr. Czyli o pieniądze. Rachował. Jeżeli sztuka pójdzie, jak się tego spodziewa, wprowadzenie nowej aktorki doda sztuce nowego interesu i podbije sukces, niby mocne uderzenie palanta piłką gumową, gdzieś pod obłoki. A jeżeli sztuka się zachwieje, Malinowska ma szansę uratowania sytuacji nadkompromitowanej.

Malinowska uczy się więc Alcesty.

Robi to przy pomocy Miodowskiego. Ten jej sufluje rolę i daje zbawienne wskazówki artystyczne. Pierwsze staje się powoli zbyt zbyteczne, drugie od początku jest niepotrzebne. Stary tragiczny, wycofany z kursu, ma fatalną szkołę i fantazyjne idee o psychologii. Jego gorliwość zaś popychać chce Malinowską w kierunku rozpaczliwie fałszywym. Na szczęście, Malinowska jest aktorką, której nigdy żadne wskazówki reżyserskie czy autorskie niczego nie nauczyły. Jej inteligencja cofała się wobec roli w jakiejś głębie przepastnej, z których ani dobre, ani złe słowa wystawiającego sztukę nie były zdolne wywabić. Grała warunkami swymi, do patosu pysznie się

nadającymi. I grała jeszcze swym instynktem artystycznym, tajemniczym i dziwnym, mocnym a ślepym, niby chłop, czasami jej usługującym, czasami ją zdradzającym, nieraz jedno i drugie w różnych momentach tej samej roli. Była aktorką żywiołową i nierówną. Ale gdy jej instynkt dopisał, robiła małe cuda w duszach słuchaczy, rozpromieniała się jak gwiazda, siłę głosu, gestu, spojrzenia doprowadzała do miary potęgi i wtedy ani jedno serce ludzkie nie mogło stawić jej oporu.

Uczyć się roli, — było to dla niej umieścić w pamięci daną ilość prozy albo wierszy. To jedno tylko zależało od niej. Reszta była zabawą sił, dla których służyła jako teren.

Znała ona siebie. I dlatego nie zwracała nawet uwagi na rady i wskazówki Miodowskiego. Wiedziała, że jest biernym instrumentem, na którym grają jakieś tajemnicze i obce jej jakby ręce. Ale tym samym instynktem czuła obecnie i to, że rola Alcesty tak łatwo w nią wchodzi, jak ręka w dobrą rękawiczkę, więcej nawet, bo jakby dusza do własnego ciała. I dlatego nigdy może wobec nowej roli nie była tak nieszczęśliwą, jak wobec tej, — tak bardzo własnej jej roli. Nie miała jednak pewności, czy tę rolę grać będzie wobec tak kategorycznej niechęci autora. A jeżeli ona ją i zagra, tę rolę tak dla niej stworzoną, to ją z pewnością, — mój Boże, położy, — a to będzie straszną jakąś katastrofą...

Uczyła się więc roli Alcesty zapalczywie, gorączkowo i wśród tragicznych niepewności.

Tymczasem Wiatrowskiego to poczynało nudzić. Miał pretensję do Malinowskiej, że go coraz wyraźniej i, jak mówił jej, „coraz cyniczniej” zaniedbuje. Ale ponieważ to nie skutkowało, zrezygnował z pretensyi i chciał choć mniej się nudzić w ciągu tego neo-klasycznego kryzysu. Zaczął więc bawić się Miodowskim, udając, iż jest o niego zazdrosnym.

Ale stary aktor znał się na aktorstwie. Pozwalał tym, których potrzebował, bawić się jego kosztem, skoro ten rodzaj zabawy tak im przypadał do smaku, przez złośliwość jednak psuł ludziom rozkosze brania go na fundusz, pokazując różnemi ubocznemi drogami, jak doskonale uświadomionym jest o charakterze danej sytuacji, wytwarzającej się w ten sposób za jego łaskawem pozwoleniem.

I teraz wysłuchiwał półsłówek i półdocinków Wiatrowskiego z uśmiezkami, pełnemi inteligencji, podnoszącej się często do subtelności.

Wiatrowski zrozumiał wprędce, że Miodowski nie wierzy w jego zazdrość i uczył się tem dotknięty w jakieś bolące miejsce swej ambicji. Z dowcipnego stawał się więc coraz wyraźniej nieprzyjemnym.

Zaczął wreszcie robić sceny Malinowskiej.

— Czy i dziś przyjdzie do ciebie ten stary kabotyn?

- Niewiem... Pewnie...
- Mógłby on rzadziej czuć potrzebę spojrzenia w twe tragiczne oczy...
- Mówisz przecież, że on cię bawi?...
- Zdaje się, że cię lepiej jeszcze.
- On mnie uczy roli...
- Nietylko roli...

Malinowska zdziwiła się tym niespodziewanym naciskom.

- Kto? Miodowski?
- Tak jest, Miodowski!
- Zwaryowałaś?!

— To zwaryowałaś jest stary już kawał. Poproś Miodowskiego, aby cię nauczył jakiego nowego, skoro go sobie wzięłaś za metra...

Poczęło go to wreszcie coraz dokuczliwiej męczyć, iż nikt nie bierze na seryo zazdrości, której ani trochę nie odczuwał.

Stawał się więc brutalnym. Miodowskiemu podawał teraz dwa palce na powitanie, a Malinowskiej wyrzucał coraz otwarciej jej zdradę. Z początku się temu dziwiła, potem śmiała, potem wzruszała ramionami. Ale gdy raz nawet nie wzruszyła ramionami i przyjęła uwagi Wiatrowskiego, jakby to było brzęczeniem muchy pod sufitem, on uniósł się i zażądał, aby tu nie powstała więcej noga tego kaboty.

Malinowska teraz dopiero spostrzegła, że to jest seryo.

Zrobiła więc rozumowanie w swej głowie, oceniła, że w Miodowskim straci jedynie klienta

do swych nalewek i poprosiła go, aby dla jej spokoju przestał do niej przychodzić.

Wiatrowski nie spotykał go już u niej.

Ponieważ mu go jednak brakowało, zapytał pewnego razu Malinowskiej:

— Cóż to, Miodowski się nie pokazuje?

— Wyrzuciłam go za drzwi.

Wiatrowski zgłupiał. Nuda pożycia we dwoje, bez drobnych urozmaiceń, jakie stary aktor tu wnosił, stanęła przed Wiatrowskim w całej nagości. Malinowska była tak dalece kobietą domowego ogniska, że nie umiała przynieść z za kulis jednej plotki teatralnej. Gdy jej pytał:

— Co tam słyszeć w teatrze?

Odpowiadała stale i niezmiennie:

— Nic.

Tymczasem przychodził Miodowski i sypał jak z rozprutego worka pogłoski, złościwości i kawały.

Rzucił się więc Wiatrowski na Malinowską:

— Co?! wyrzuciłaś go za drzwi?! Cóż ty myślisz, że ja mogę być na seryo zazdrosny o jakiegoś kabotyńca?! To dla ranie jest nic! rozumiesz?! nic! zero! To dla mnie nie istnieje! Ja tego wcale nie spostrzegam!

I aby dopełnić miary swej konsekwencji, udał się niezwłocznie na poszukiwania Miodowskiego.

Odnalazł go w mleczarni jakiejś, niedaleko teatru, nad salaterką zsiadłego mleka. Wyciągnął do niego przyjaźnie i szeroko rękę.

- Mleczko? Mleczko?... — rzekł z ironią, pełną jednak sympatii.
- Nisko upada człowiek, na którego się zawzięły bogi...
- Pan? z takim talentem...

Zatelefonował do Malinowskiej z wielką radością w głosie, że złapał Miodowskiego.

- Więc co? — odrzekła Malinowska w rurkę telefonu.

- To, że zapraszam ciebie i jego dziś wieczorem na kolację do knajpy.

Malinowska nic z tego nie rozumiała. Należała ona jednak do tych szczęśliwych natur, które nie wykrzywiają swej duchowej istoty przez potrzebę rozumienia czegokolwiek. Na tej kolacyi bawiła się więc, jak zwykle w knajpie, to jest średnio, podczas gdy Wiatrowski był w wyśmienitym humorze, nadwerężanym tylko lekko przez podejrzenia o nieświeżość ryby; Miodowski czuł się wprost bosko.

iaiiiaiaagi9iiiiiaiiiaiiDiiiaiiiiigiiiiDiiiaia5iisiii

x.

róby ze sztuki Flora były bardzo mozolne. On je uczynił takimi. Wbił sobie w głowę dziką myśl usunięcia suflera z rampy. Towarzysze z „Pod Nieskończoności” wmówili w niego, co zresztą poszło im gładko, że sufler jest stałym skandalem teatru nowożytnego. Wackowski już grzmiał w pismach na ten temat. Aktorzy uśmiechnęli się, gdy autor od nich tego zażądał. Poważny i melancholijny Krotowski wziął Flora na stronę i powiedział mu tonem, w jakim doświadczony a dobrotliwy bywalec salonowy udziela lekcji savoir-vivre'u młodemu debiutantowi:

- Panie, to jest niemożliwe...
- Dlaczego? — zapytał Flor spokojnie.
- Tego niema w żadnym teatrze.
- Tem lepiej dla naszego.

I odszedł pozostawiając na stronie Krotowski, bardzo obrażonego.

Flor palił się do przedstawienia, goręcej, aniżeli oni wszyscy. Ale powiedział sobie: „Oto piękna okazja wystawienia na próbę mego charakteru”. Przypomniawszy sobie Durewicza i jego tak wysoką miłość dla sztuki. Wmawiał w siebie, że ci tylko mogą zapanować nad światem, co siebie zdołają utrzymać w garści. I trwał, jak stał, w tym bogatym świecie, gdzie jest wszystko, oprócz charakterów.

Zresztą w duszy płonął mu i inny ogień obecnie: oburzenie na tę marną rzeszę aktorską, która sztukę traktuje jako proceder, najkorzystniejszy, o ile się da, a praktykowany najmniejszym możliwie kosztem, bez wysiłków, bez natężenia, bez poświęcenia, bez miłości. U najlepszych dopatrywał ledwie trochę nałogu. Stawał się dla nich twardy, a w miarę, jak rosła ich dla niego nienawiść, i okrutny. Przychodził na próbę zacięty i skoncentrowany, puszczał aktorów w ruch przy pomocy reżysera, a gdy się który zaciął i sięgał do zeszytu, Flor odkładał próbę na dzień następny.

Nieraz miał ochotę zawołać im: Quos ego, kanalie...

Miał za sobą dyrektora, który coraz bardziej w niego wierzył, zdziwiony i wprost poskromiony energią dziką tego chłopca. Tem dalej w głąb rosła nienawiść aktorów do Flora. Nazywano go między sobą żółtodziobem i usiłowano uprzejmościami i wyróżnieniem przeciągnąć na swą stronę Joannę, pomimo, że ona

Powrót z za świata

jedna nie narażała się Florowi, znakomicie ovladnawszy rolę Alcesty. Udało im się to bez wielkich mozołów. Joanna, po lekkim wahaniu, przez prostą małoduszność i normalną, w teatrze zwłaszcza, niewdzięczność, zdradziła Flora i pozwalała bez zmarszczki nazywać go żółtodziobem w swej obecności.

Pewnego razu wreszcie gromadzące się tu nienawiści wyładowały się. Flor oznajmił Krotowskiemu:

— Panie, pan nie będzie grał Admetesa.

Krotowski osłupiał. Na to się nigdy za jego pamięci nie považył żaden autor.

— Dlaczego, panie ? — zapytał.

— Brak panu do tego różnych rzeczy, a głównie chęci.

Zawrzało na moment w teatrze. Krotowski zaproponował swym kolegom, aby wszyscy złożyli rolę. Odpowiedziano na tę propozycję bezzwłocznie prędkim milczeniem. Wymyślano potem na żółtodzioba, więcej niż zwykle. I wreszcie znienawidzono go do tego punktu, wokoło którego zaczyna się uwielbienie. Użyto Joanny, przed którą teraz wszystko zdawało się tu klonić, jak nigdy, aby to „nieporozumienie” załagodziła i Krotowski wrócił do roli Admetesa.

Tymczasem dyrektor powziął nową ideę.

Wezwał do siebie Malinowską i dał jej krótkie, szorstkie, napoleońskie rozkazy:

— Towarzystwo aeroplanów wodnych urządza za parę dni wielki koncert na ofiary swojego sportu. Nie dam nikomu z teatru pozwolenia na ten koncert, tylko tobie jednej, rozumiesz?!

Był tak stanowczym, że aż groźnym.

— Rozumiem, — odrzekła, skupiając swą inteligencję Malinowska.

— Wybierz coś bardzo efektownego i stań na głowie, żeby mieć powodzenie...

— Można „Hagar na puszczy”?

— Hmm. Można. Skończyłem.

Tem łatwiej czuł się Napoleonem wobec tej nikłej i poddającej się tak bezgranicznie każdemu rozkazowi woli.

I na ten koncert zaprowadził z możliwymi ostrożnościami i nie odsłaniając swych kart, młodego autora. Miał poczucie, że przeprowadza intrygę w wielkim stylu. I dopiero, kiedy zasiedli w fotelach obok siebie, na chwilę przed uwerturą symfoniczną, rozpoczynającą koncert, dyrektor zapytał Flora:

— Usłyszymy dziś Malinowską. Czy widział pan ją kiedy w jej dobrej roli?...

— Zdaje mi się, że nie...

— Napewno nie, w takim razie, boby nie mówił mi pan: zdaje się.

Suggerował go zrećźnie.

Potem zajrzał do programu:

— Hagar na puszczy?! Jak też ona nie umie wybrać sobie repertuaru.

I wyliczył Florowi kilka utworów wysokiej poezji, w której Malinowska była „nadzwyczajną”. Niektóre z tych utworów zresztą nigdy nie wchodziły w repertuar tej artystki, a parę nie istniało nawet w literaturze. Dyrektor się zapalał. Czuł on jednak, że gra grę nieco ryzykowną.

— Niech teraz ta małpa się sypnie, — myślał z zimnym strachem.

Wprawdzie nie wywierciłoby to dziury w niebie, ani w teatrze, ale dyrektor miał wielki wstręt, silny jak przesąd, do wszelkiego fątygowania się napróżno.

Malinowska się nie sypnęła tego wieczoru. Rozprawa z bogami była to jakby specjalność jej talentu, potrzebującego znaleźć oparcie solidne w uczuciu gwałtownem i dlatego możliwie prostem. Wielka jej siła głosu i gestu wymagała wielkiego przeciwnika. Biblijna pieśń Ujejskiego jest wprawdzie modlitwą, ale modlitwa to wykrzykiwana na krańcach obłądu zrozwalonej duszy. I kiedy Malinowska zaczęła od samego początku drzeć się skargą i ryczeć boleścią, dreszcz przebiegł po sali.

Flor aż się cofnął w głąb fotelu od impetu, który, niby zerwany nagle huragan, uderzył w widownię.

Potem zaraz Malinowska ścisnęła pięści, jak do razów, przy wierszach:

I nigdyż Jehowa,

I nigdyż do zgonu Nie ujrzę już dolin

Kwiecistych Hebronu, Ni miejsca, gdzie pan mój I ród?!

Florowi wydawało się przez moment, że artystka popełnia jakiś nonsens. Pamiętał on, jak inne w tym miejscu malowały słodyczą głosu wiosnę hebrońskich łąk. Ale natychmiast mu błysło w głowie, że to poraż pierwszy właśnie słyszy prawdziwą Hagar, lwicę południa i pustyni. Wspomnienie to jest przecież — „nes- sun magior dolore* Danta. A tu, w istocie na poły dzikiej i w matce dowiedzionej do szaleństwa, muszą się zerwać wszystkie instynkty protestu, jakie człowiek ma do rozporządzenia. Hagar procesowała się z Jehową, po co stworzył wiosnę i zefiry?!

I już doznawał Flor rozkoszy bez miary, gdy artystka 2 wściekłością rzucała pozornie słodkie wiersze:

I nigdyż, już nigdy,

Choć wyjdę z żywotem, Nie usnę strudzona

Pod jego namiotem, Ni nocą wybiegnę do trzód ?!..

Kiedy skończyła wołać, nie zmieniawszy prawie tonu od początku do końca, jakby gardząc całą sztuką aktorską wobec prawdy i potęgi wyrywającego się jej żywiołowo z piersi uczucia, Flor oszalał w oklaskach. Walił ręką

o rękę z furją, porwany potężnie, a przytem doskonale świadomy tego, co czyni, nagradzając wielką artystkę i dając zarazem lekcję entuzjazmu tłumowi publiczności, który osądzał jako niedość wrażliwy i inteligentny, aby odczuć

1 pojąć to, co mu podano.

Jakoż bliższe rzędy poczęły się nim bawić i jedni drugim pokazywali go sobie, trącając się łokciami. Tymczasem przywołana oklaskami Malinowska dostrzegła wściekłe brawa Flora i wzruszona ponad miarę, poczęła jemu składać ukłony jeden po drugim. Jakoś rozkosznie widno robiło się w jej duszy. Pojmowała teraz rozkazy dyrektora i rozumiała, iż odniosła jakiś tryumf, prawdziwie wielki. Kręciło się jej w głowie. I zeszedłszy z estrady, zaczęła słabym głosem prosić o wodę.

Dyrektor wrócił do siebie z mętными uczuciami. Wygrał, bo wygrał batalię, tak po napoleońsku przygotowaną. Ale czemu ma jakiś niemły posmak po tem zwycięstwie? Flor obniżył się w jego oczach swym entuzjazmem bez najmniejszego umiarkowania i nawet aż nieprzyzwoitym. Dyrektor miał już tego chłopca za człowieka silnego, jakich pokazuje taki Ohnet („Właściciel Kuźnic" była jedną z lepszych ról

dyrektora za jego aktorskich czasów). A tu tyle gwałtu?! To dobre na paradyzie, nie w pierwszym rzędzie krzesel! Cóż?! rację mają aktorzy. Jestto — żółtodziób.

iBBfBHiSB^^

XI.

a drugi dzień, ku końcowi próby, ukazał się na scenie dyrektor i, kiedy aktorzy się poczęli żegnać i rozchodzić, wziął Flora konspiracyjnym gestem pod ramię i zaprowadził do swego gabinetu. Zastał tam Flor Malinowską.

— Wy się jeszcze nie znacie?! — rzekł im dyrektor. — A to jest zgroza. Pierwszy autor świata, pierwsza aktorka obu półkuli. Podziękujcie naprzód mnie, że o was myślę. To zresztą moja rola. Dobry dyrektor teatru powinien być jak ten ojciec. A potem podziękujcie sobie wzajemnie. Pan jej za wrażenia, ty panu za oklaski.

Flor zachowywał się wobec niej z pod- kreślanem grubo uszanowaniem, odbijając je, ile tylko można, od swobody, jakiej nabrał w stykaniu się z teatrem. To jednak Malinowską krępowало i naprowadzało na różne fałszywe tony.

Nie umiała nawet zaprosić Flora do siebie na obiad, jak to było zaprojektowane przez dyrektora. Projektodawca, wobec niezręczności wykonawczynie, musiał sam ideę swoją puścić w ruch. Niecierpliwy i nie lubiący tracić czasu, rzekł po kilku chwilach wysłuchiwania andronów:

— Ale pan nie znasz jeszcze wszystkich jej talentów, — zawołał. Ona jest znakomitą gosposią. Zaproś się pan kiedy do niej na obiad, a nie będziesz żałować...

— Nie śmiałybym sam.

— Ależ to byłby dla mnie wielki zaszczyt...

— Niechże pani mnie nie zawstydzą. Zaszczytu to ja doznam.

Dyrektor rozluźnił szczęśliwie to napięcie, które groziło zupełnym zatamowaniem konwersacji:

— Nie mówcie o zaszczytach. Nie jesteście przecież na scenie w obliczu głupiej publikii. No, panie Romanowski, powierzam panu, znając pańską uczciwość, naszą Malinosię drogą, którą trzeba bez przypadku odprowadzić do domu. Ale przez drogę bądźcie trochę jednak weselsi.

Ta dobra rada przepadła. Po drodze nie stali się weselsi bynajmniej. W ich duszach tyle było rzeczy, stworzonych dla dopełnienia jedna drugą, że te dusze zdawały się umykać przed sobą, jakby w obawie przed logiką losu, który nie lubi harmonii.

Dopiero przed bramą domu Malinowskiej, jakby w nawiasie i po wyczerpaniu ważniejszych

przedmiotów, umówili się, że Flor przyjdzie do niej na obiad, po koleżeńsku, bez żadnych ceremonii, zaraz jutro.

Droga Malinosia?! Dostała ona teraz gorączki życia, jaka nie rozgrzewała jej nigdy dotychczas. Więc ona naprawdę jest wielką artystką? Oklaski Flora na koncercie, komplementy, które ją w niebiosy sztuki podnosił, zawracały jej głowę, tak zwykle spokojną.

W takim razie niesposób przecież wątpić, że da jej rolę do dublowania...

Da!.. Da!..

Idzie tylko teraz o to, aby się ten jutrzejszy obiad udał!..

Kaiyerę swoją artystyczną, wielką, może wszechświatową karierę, widzi w tej chwili Malinowska zależną głównie od jutrzejszego pasztetu na gorąco, do którego użyje zajęcia i kilka delikatnych przepiórek.

I nazajutrz raniutko, włożywszy najskromniejsze okrycie, leci droga Malinosia do hal i przez sklepy, aby dostać wszystkiego w najlepszym gatunku.

Ma tremę ogromną a podwójną, — o rolę i o obiad.

I ręce jej się trzęsą, gdy przychodzi moment ubrania stołu najpiękniejszym z jej obrusów, serwetkami złożonymi zgrabnie w skomplikowane figury, kolorowymi nalewkami w kryształowych karafkach i przewiazaną wstążką do

niczka z kupionym dziś w sklepie kwitnącym cyklamenem.

Na stole dwa nakrycia.

Malinowska postanowiła nie chwalić się przed autorem swoim Wiatrowskim, ponieważ okazywał on jej zwykle mało uszanowania przy ludziach obcych.

Kiedy odezwał się dzwonek w przedpokoju, serce aktorki drgnęło słodką nadzieją, gdyż myśl podpowiedziała mu, że pasztet na gorąco świetnie się udał.

Ale to serce poczęło się wkrótce dziwić, trwożyć, ścisnąć i krwawić. Flor przyszedł na obiad chmurny, zdał sobie bowiem sprawę, że jego życie skomplikowało się teraz motywem złowrogim. Oto ta kobieta stworzona jest do roli Alcesty — i on jej tej roli dać nie może! A jej się ta rola należy, i ona się jej spodziewa, i ma prawo do tego, choćby przez te entuzjastyczne pochwały, jakie rzucał jej Flor wczoraj, niby kwiaty królowej pod nogi.

Wystawność i doskonały smak wszystkiego* co tylko Flor wziął w usta, doprowadzały go do pasyi.

— Ona mnie zyskuje, jedna, przekupuje* rujnuje się na to, ta artystka, u nóg której leżeć powinna moja dusza, jak wierny i pokorny pies — gniewał się na siebie i na życie.

I ze wzgardą jadł gorący pasztet i pił kolorowe nalewki.

— Panu nie smakuje — konstatowała ze smutkiem Malinowska.

Odpowiedział jej wreszcie:

— Ależ smakuje mi, proszę pani... Bardzo mi smakuje... Za bardzo mi smakuje...

Jest to dla niej literatura zbyt wysoka. Z zachowania się Flora rozumie wyraźnie jedno tylko, że się dla niej zmienił, ochłódł, zlodowaciał. Nie otrzymuje od niego ani jednego z tych płomiennych komplementów, którymi rozpalił jej nadzieje. A tak odrazu do nich przywykła. I po pierwszych już zrodziło się w niej poczucie, że się one jej od niego należą. Obecnie boleje przeto, jakby ją pozbawiano czegoś własnego. Jej dusza zaczyna się błąkać. Uczu- wa jakiś ostry zawód, jakieś spadanie z obłoków, gdzie widziała przez chwilę stawiany dla siebie tron błyszczący z promieni słonecznych.

Powtarza bezmyślnie:

— Pan nic nie je...

Tymczasem we Florze wszystko to, co zostało poświęcone sztuce przez marzenia o sławie, woła huczącym głosem:

— Tal.. Tal... Nie tamta...

I rozumuje gorzko:

— Oto prosi mnie ona o rolę, a więc

0 moje szczęście, prosi swem milczeniem i zdumieniem nad moją zmianą, moją zdradą, prosi każdą intonacją głosu i każdym ruchem ciała,

1 tym wyśmienitym obiadem. A ja... ja muszę jej odmówić tego mojego własnego szczęścia...

Co za sytuacja?! Na samym początku samodzielnego życia?! Niech dyabli porwą!
Gdyby jej choć powiedział coś z tego, co myśli tak energicznie?!

Ale mówi sobie właśnie:

— I po co? I po co?...

Młodemi oczami człowieka, zaczynającego bój życiowy, widzi a przynajmniej odczuwa swoją tylko krzywdę. I unika rozmowy o swej sztuce, unika jej nawet wtedy, gdy Malinowska kilkakrotnie wtrącić usiłuje ten przedmiot w menu obiadowe, unika tak stanowczo, że aż Malinowską zbiera wstyd za swoje próżne ciągle natręctwo.

I obiad wlecze się długo, nudno i smutno.

A kiedy Flor spuszcza się ze schodów po tej ciężkiej rozmowie, rozstrojony, dalszy aniżeli kiedykolwiek od jedności życiowej, pochmurny od cieni, które ciemnymi pasmami kładą się wśród pogody pierwszych jego tryumfów poetyckich, Malinowska poczyna go nienawidzić. Wraca do stołowego pokoju, aby pomóc służącej, która nie posiada prawa sprzątnięcia ze stołu nalewek, i tu, w tej kobiecie, będącej dotychczas tylko „warunkami na bohaterkę”, przebudza się jakaś pierwsza odrobina bohaterstwa. Od silnych a krańcowo przeciwnych wrażeń wielkiej nadziei sławy i tego, pogardliwego, jak mniema, odtrącenia jej przez młodego autora, rodzi się w niej chęć i pragnienie walki. Fala nieznanego dotychczas energii

bucha jej do twarzy płomieniem krwi i pożarami gniewu zapala się w oczach. Z tego wulkanu, który zawsze czekał z wybuchem, niby terminu, momentu, gdy inspicjent zawoła „teraz pani, już, już” — spływa nieco gorącej lawy na jej zimne życie.

— Miałby mi może nie pozwolić dublować?! Nawet nie dać zagrać choćby raz jeden, raz jeden tej roli?!

Zaciska pięści i mówi sobie:

— Ooo! To nie może być!

I tak jej to się wydaje dzikiem, potwor-
nem, niesprawiedliwym i niemożliwym, że do-
znaje nagle uczucia spokoju i pewności o rolę. Istotnie bowiem, wystarczy, aby w człowieku podniosła się energia o stopień w górę, a zaraz rzeczy dalekie poczną ściągać w jego stronę, niby psy na rozkazujące gwiznięcie.

Chowając nalewki starannie do kredensu, Malinowska pragnie walki, starcia, awantur, z autorem, dyrektorem, rywalkami z teatru, a w razie ostatecznym z Tym, do którego tak gorąco, a napróżno się modli. Oczy jej błyszczą się dziko. I jest coraz to spokojniejsza o Alceste. Mimo woli wypływa jej na usta, wbrew wszystkim jej obyczajom, wiersz z jakiejś zapomnianej roli tragicznej:

„Losy swe człowiek nosi w piersi własnej!”...

W tej chwili wchodzi Wiatrowski.

— No i cóż — pyta — był autor?

- Był — odpowiada mu ze wzruszeniem lekceważącym ramion.
Wiatrowski spogląda na nią zdziwiony.
- Jakaś ty dziś dziwnie piękna? I porywa go zaraz złość.
- To ten autor tak cię rozpalił — woła już z awanturą...

m

śmiecha się do Joasi życie. Ma wielką rolę w epokowej niezawodnie sztuce i ta rola stawia ją w gloryi, Ółsniewającej wyraźnie oczy księcia Mięcia. Już nie wiele potrzeba, aby powrócił do niej księżę na dobre i na stałe, to znaczy na lat parę przynajmniej, co po drugiej stronie tego życiowego równania da Joasi długi, długi spokój. Potrzeba na to już chyba tylko jednej premiery, jednej batalii gorącej, w którejby Joasia walczyła jako wódz, na czele zwyciężającego batalionu świętego, jednej słonecznej uroczystości, w której otrzymałaby od tłumu cześć należną jednodniowym choćby bóstwom.

Uczy się roli swej zajadle, z pasją, jaką natury mniejsze umieją nieraz wkładać w opanowanie środka, uboczną drogą prowadzić zdolnego do upatrzonego celu.

I zasugerowana przez ilość włożonej w wyuczenie się roli pilności i namiętności, nie wątpi, że będzie Alcestą świetną.

— Idzie tu wielka gra mojego życia — myśli sobie.

Tem ostrzejsze nachodzą ją momenty u- padku i zwątpienia. A jeżeli stanie się coś, co pomiesza jej rozłożone już karty o tylu atutach? Co się stać może, co by ją i teraz jeszcze zgubiło? Co?.. Wysila swoją wyobraźnię, aby z możliwie wyrafinowaną sztuką gasić kolory na tęczy swych nadziei. I tylko ubóstwo przyrodzone wyobraźni podaje jej w tem samozatru- ciu pewną litościwą pomoc.

Od czegoż jest jednak Fipka, wynalazca, odkrywca i szafarz złych wieści. Ten specjalista ma zawsze nowości na składzie.

Przylata on pewnego poranku do Joasi ze swem złowieszczem:

— Słyszałaś już?.. Słyszałaś?..

— Co? Co?..

— Malinowska dubluje z tobą Alcestę! Macie ją grać naprzemiany w różne dni tygodnia. Ona we czwartki, soboty i niedziele, a ty w poniedziałki, piątki i na popołudniówkach...

— Romanowski nigdy na to nie pozwoli.

— To już zrobione. Mówią, że się jakiś czas opierał. Ale jak ci wzięła go w swoje obroty, zaczęła do siebie ciągnąć na frykasy, kokietować swemi starkami, tak uległ. Stołuje się już stale u niej.

Powrót z za świata

— Fipka, czy wiesz to na pewno?..

Czy wie na pewno? Przysiądź może. I nawet przysięga, żeby zrobić przyjemność dobrej koleżance...

Joasia wzywa natychmiast Flora gwałtownym listem.

— Jak stoi sprawa z dublowaniem Alcesty? — woła do niego.

Flor stawia znaki zapytania w swych oczach.

— Nie wiesz? Nie wiesz? Nie wiesz nic?

— Pierwsze od ciebie słyszę?!

Joasia wybucha:

— Kłamiesz! Kłamiesz!

Zarzuca go pytaniami śledzczemi:

— Powiedz, czy nie chodzisz do niej? czy nie jadasz u niej obiadów? czy nie spijasz jej nalewek? Zaprzecz! Daj słowo? Słowo honoru? A co? Nie zaprzeczasz? Nie dajesz słowa?! Ach! Flor! Jakiś ty jest podły! podstępny! przewrotny! W tak młodym wieku! Com ja zrobiła, nieszczęśliwa, zaufawszy ci tak kompletnie! Flor, Flor! Za co ty mnie niszczysz? Za co ty mnie gubisz? Za co ty mnie traktujesz jak swego śmiertelnego wrooooga?!

Rzuca się na kanapę ze spazmatycznym łkaniem.

Flor siada w spokoju, pełen czystości sumienia i czeka, aż będzie można mówić z Joasią.

— Ja nic nie wiem o tym projekcie dublowania Alcesty. Nic. Powiedz mi poprostu i bez dekoracyi zwykłych, co ty wiesz o tem, — pyta jej.

Joasia ociera oczy, którym łez narazie zabrakło, pomimo gwałtu, jaki panuje w jej duszy, i mówi mu, co wie.

Flor zastanawia się i kombinuje:

— Hm, wydaje mi się możliwe, że taki projekt po za moimi plecami się układa. Tak, tak. Pewne rzeczy wskazują na to...

I ten projekt zaraz pociąga go ze straszliwą mocą.

-r A gdyby nawet? A gdyby? Dlaczego byś nie miała pozwolić czasem tam zagrać Malinowskiej?! Nie w sobotę, ani niedzielę, ma się rozumieć. Ale w jaki poniedziałek? Cóż to byłaby za strata dla ciebie? Nie mówię już

o zgubie?..

W duszy mu zaś gra:

— Jakby to było pysznie? Jakby to było wspaniale?

Ale Joasia poczyną mu tłumaczyć spokojnie, rozumnie, logicznie, bo i tak umie w momentach jasnowidzenia swego prostego interesu.

I rozbija w kawałki jego nagłą a piękną nadzieję. Gdyby Malinowska zagrała Alceste, choćby na pięćdziesiątym przedstawieniu, choćby w pustej prawie sali, choćby w najgorszy z poniedziałków, będzie umiała ona sprowadzić prasę. I zaczną się porównania, być może, ubliżające dla Joasi, która „do prasy wogóle nie ma szczęścia”. Niech Malinowska zagra inaczej tę rolę, albo lepiej, — co wtedy się stanie z karierą całą Joasi? Zaczną się wyrzuty, do dyrekcyi skie

rowane, za niewłaściwą obsadę?! Odrobina intrygi już na to wystarczy. „Dlaczego odrazu nie Malinowska”?! I Malinowska opanuje tryumfalnie rolę, którą odbiorą Joasi, jako jej niegodnej?! Nie dostać roli — to jest już ciężka klęska dla aktorki. Czem jest jednak — odebranie już otrzymanej i granej roli? Katastrofą. Bankructwem. Godziną ostatnią, która bije strasz- nemi dzwonami pogrzebowymi: precz—precz— precz!

Flor nie odpowiada nic. Siada przy biurku Joasi i na jej wonnym papierze listowym pisze:

„Dowiaduję się, że jakieś wieści zakulisowe przypisują pani Malinowskiej dublowanie roli w mojej sztuce. Mam zaszczyt zawiadomić pana dyrektora, że pragnę do końca pozostać panem mojego dzieła i że rolę Alcesty powierzyłem samej panie Kryckiej. Nikt inny grać jej nie będzie, pomimo całego mojego wielkiego uznania dla talentu pani Malinowskiej. W zabezpieczeniu moich praw wymagam osobnego kontraktu formalnego, do któregoby zanieścionym został powyższy warunek*.

Podaje ten list Joasi do przeczytania, za- kopertowania i wysłania według adresu.

Joasia czyta list i opuszcza ręce znużenia pełnym gestem. Zwyciężyła jeszcze raz, zwalczyła nową przeszkodę, tak nagle i podstępnie

wyroślą na jej drodze. Ale już ją strasznie zmęczyła ta walka, w której trzeba zwyciężać ciągle, bezustanku, zawsze nanowo, zawsze wielkim kosztem, i gdzie nie można po żadnym z najwალniejszych zwycięstw złożyć do spokoju głowy. Kiedyż pewniejszą była roli, niż teraz? I tę rolę musi raz po raz wyrywać jakby z paszczy wilka drapieżnego, który dnia każdego czatuje z wyostrzonymi kłami na wszelkie jej dobro. Ach, ten książę, wielki pan z karyerowiczowską duszą, którego ciągnie i czaruje jedno tylko powodzenie, sam nagi prosty sukces?!

Wzdycha z głębi duszy:

— Jakież ciężkie i podłe jest życie?!

XIII.

o tego czasu Flor trzymał się jakotako na piedestale obowiązku, raz na siebie włożonego. Nie stanowił on, zapewne, na podobieństwo dobrego pomnika, jednej z postumentem całości i chwiały się na mocnym wietrze. Ale potem zaraz i na wet skutek zaznania swej chwiejności, tem mocniej przylegał podeszwami do brązu swych powinności, i trwał.

Od chwili jednak, kiedy przyłapała go polująca nań Malinowska i powiedziała mu wszystko, co mu się tylko należało, uczuł się Flor na wyżynach moralnych swoich, jak mąż, mało odporny na sensacye przestrzeni.

— Dyrektor pokazał mi pański list, — rzekła mu Malinowska.

I ten fakt ustalwszy, poczęła go zaraz ubierać w bogate komentarze.

— Panie! To jest niegodne, co pan zrobił?! Niegodne! Musi pan ten list cofnąć, wyprzeć się go, wyrzucić nawet ze swej pamięci samej. Jabym się na pańskim miejscu spaliła ze wstydu!...

I interpeluje go:

— Jak pan mógł mi zrobić taką krzywdę?! Taką straszną, taką niewypowiedzianą krzywdę?! Jak wogóle jeden człowiek drugiemu może coś podobnego zrobić?!

Malinowska przypuszcza, że Flor nie wierzy, naturalnie, w Boga, i że — ponieważ wynioskował stąd, iż niema i piekła, — rzekł sobie:

— Hulaj dusza! Wszystko mi wolno!

Nie, panie autorze, jeszcze jest ludzkość.

I do trybunału jej chce Malinowska, pokrzywdzona Erynia, zawlec Flora, wielkiego przestępcę.

— I jeszcze po tem wszystkim, co pan mi tak pięknie mówił?!

Musi Flor teraz zdać sprawę ze słów swoich i uczynków. Co znaczyły jego entuzjastyczne oklaski na koncercie?! jego wzniosłe komplementy w gabinecie dyrektora? Jeżeli to nie było szyderstwo i katostwo, — co to więc było? Uważa ją za wielką artystkę, tylko, broń Boże, aby dotknęła się roli w jego sztuce?!

Dlaczego? Dlaczego?

Ach! Przecież ta wielka artystka obok życia przechodzi, ponieważ żaden autor dotychczas

nie pisał ról, jakich jej potrzeba. I urodził się taki autor! I pisze do dyrektora, aby tylko jej nie dać roli w jego sztuce!

Ależ to jest cynizm, arcy-cynizm, urąganie sprawiedliwości.

Świat trzęsie się w posadach, ponieważ Malinowska nie dostała dubeltu roli Alcesty w sztuce Romanowskiego „Powrót z za świata”!

Flor spostrzega teraz rzecz, o której nie myślał: że krzywdzi dotkliwie jakąś istotę ludzką i to, naprawdę, krzywdzi ją bardzo. Ta myśl nowa rzuca się z krzykiem pomiędzy myśli jego o uniknięciu właśnie ludzkiej krzywdy, i to za wszelką cenę. I widzi się oto postawionym pomiędzy dwie krzywdy niewątpliwe, a wszystko, co on tu uczynić może, to tylko wybrać tę ludzką istotę, która ma być oddana na pastwę.

Jakto? To tak jest? To on musi zrobić Koniecznie zrobić? Być pięścią losu, tłukącą w czyjeś serce ludzkie?

I nie można nawet przed tem oczu zamknąć? uciec gdziekolwiek?

— Ależ to jest straszne! To jest nie do zniesienia!...

Malinowska tymczasem doznaje ulgi. Ot, co należy robić?! — rozumuje, widząc wielkie pomieszenie autora. — Upominać się o swoją krzywdę! Nie ustępować! Krzyczeć!

I pewno. Nie można w takich razach liczyć na domyślność najinteligentniejszych, ani na delikatność najlepszych. Gdzie interes nawet nie

gwałci sprawiedliwości, tam jeszcze usypia dobrą energię ludzką tyle popularna potrzeba spokoju, świętego spoko/u?!

Dobra Malinosia znajduje się na prostej drodze.

Flor próbuje jej coś powiedzieć jednak:

— Pani nie może sobie nawet wyobrazić, jak ja uwielbiam panią, jako artystkę. To była data w moim życiu, ten koncert, gdym panią usłyszał, jako Hagar na pustyni. Ja jestem prawdziwie i głęboko nieszczęśliwy, że to nie pani gra Alcestę...

— I dlatego musi pan i mnie prawdziwie i głęboko unieszczęśliwić?! Dla towarzystwa. Kto w piecu siedzi, ten innych haczykiem zaczepia. A dlaczego pan robi nieszczęśliwymi nas oboje? Bo panu ona tak każe?! Bo panu ona nie pozwoliła nawet na litość dania mi do zagrania roli po niej, ku końcowi powodzenia sztuki, w dzień najgorszy... I pan, pan, pan, człowiek z ideałem i sumieniem, ulega takiemu żądaniu...

I, niezdolna już niczem się krepować, dodaje :

— I takiej kobiecie?!

Ah! jak dobrze trafił ten wyjątkowy a wulkaniczny wybuch energii Malinowskiej! Flor jest opanowany całkowicie. Tak! On podziela jej zdanie, jej pogląd, jej dramat. To istotnie świat w posadach się zachwiał dlatego, że Malinowska nie dostała dubeltu roli w jego sztuce.

Nie przyrzeka nic aktorce, niczego jej także nie odmawia.

— Niech mi pani pozwoli myśli zebrać,— prosi jej złamany.

Odprawia ją z nadzieją.

— Tak, trzeba będzie coś zrobić, — mówi, ściskając mocno jej dłoń. — Tak, to nie może tak zostać...

Narazie błyska mu idea rozmówienia się raz jeszcze z Joanną. Przekonania jej. Odwołania się do tego, co w niej jest dobrego, ludzkiego. Wyżebrania u niej litości.

Ale prędko u tej idei wyrastają skrzydła do odlotu i pazury chimery. Pojmuje, jak dalece by się to na nic nie przydało. »

I powstaje w nim myśl heroiczna:

— Cofnąć z teatru „Powrót z za świata”?!...

Ale natychmiast dusza jego drży najnikczemniejszym tchórzostwem. Nie może uwierzyć sam na moment, aby do takiej próby charakteru okazał się wogóle zdolny. I gdyby chodziło nawet o samo jego zbawienie, to teraz, na kilka dni przed premierą, w naprężonej niecierpliwości zbliżenia się raz do tłumu i zagrania na jego duszy, czy wybrałby zbawienie?... Może nie...

Tragik przeżywa chwile tragiczne. Jednak walczy ze sobą z męstwem rosnącym. Poczyna stawać naprzeciwko takiej okropnej możliwości, jaką byłoby zerwanie już z afisza nieledwie jego sztuki. Odwołuje się do ideałów i przyrzeczeń

świętych, jakie dawał sobie w uroczystej ciszy, komunikującej go z nieśmiertelnością...

Na szczęście, walka tragiczna urywa się* ledwo herold ją otrąbił. Flor spostrzega, że gest wielki byłby tym razem próżnym wszelkiej humanitarnej treści. Obecnie jest dwoje nieszczęśliwych; gdyby sztukę cofnął, byłiby nieszczęśliwi wszyscy troje.

Oddycha wolniej. Ale na krótko. Sytuacja się nie zmienia. Coś trzeba zrobić. Co? Florowi nic nie przychodzi do zropaczonej myśli.

XIV.

iedy Flor, pełen troski i wewnętrznego nieładu, udał się do kawiarni „Pod Nieskończonością”, toczyła się tam jedna z tych gwałtownych dyskusji; które decydują o ostatecznej orientacji nowego kierunku. Paru najmłodszych neo - klasyków nie mogło pogodzić się z akcentowaniem wybitnie moralnego charakteru nowej szkoły. Znajdowali się oni widocznie pod zbyt silnym wpływem swojego czasu, — czasu, który inni neo-klasycy pragnęli gorąco i niecierpliwie uczynić przeszłością. Przekonanie, iż sztuka powinna być, w swej głębi przynajmniej, w swej tajemnej istocie, jeżeli już nie na powierzchni, w zgodzie z tradycją i przeszłością ludzkości, w harmonii z dążeniami cywilizacji i ofiarami największych duchów, to przekonanie było już mocno ustalone w kółku reformatorów teatru. I większość neo- klasyków nacierała dziś ostro na garstkę opor
i

nach, aż wreszcie rosnąca gwałtowność twierdzeń dała niezgodnym alternatywę: poddać się albo odejść, se soumettre ou se demettre!

Zarysowała się scysya, —' smutny dowód żywotności ludzkich dążeń.

To Gipski, naturalnie, prowadził dyskusję, roznamietniając ją swem zimnem nieprzejednaniem, i pierwszy dając do zrozumienia oponentom, że ich właściwe miejsce byłoby za drzwiami neo - klasycyzmu. O moralność mu, oczywiście, nie szło. Ale szło mu bardzo o wyodrębnienie najmocniejsze neo - klasycyzmu od całej reszty świata, życia i sztuki, aby on wpadał ludziom w oczy najgwałtowniej, najnatrętniej, najjaskrawiej. Życzył neo - klasycyzmowi po- prostu karyery, ponieważ to było i Gipskiego karyerą. A tej pragnął tem goręcej, iż namiętność, wytrwała, jak instynkt samoobronny, była jedynym środkiem do jego celów, jedyną zdolnością jego duszy.

Inni popierali go z większą może nieco bezinteresownością, ale niezawsze z większą głębią przekonania. Nie wszyscy byli w stanie zetrzeć z siebie piętna wieku, który nakazywał sztuce autonomię bezwzględną. Zachowywali więc skrupuły. Ale wolę ich ciągnęły w odwrotną stronę urok nowości, czar herezyi i wi- zya powodzenia. Najmocniej działało to wszystko na Wackowskiego, ponieważ miał on bezpośrednią możność zamienienia tych hasel na efektowne artykuły i pożywał tylko okazji do ro

bienia furory. Czuł się bohaterem pióra, obalającym tryumfalny przesąd, — a to wlewało tyle radości do naczynia jego życia, że na myśl mu nie przychodziło, iż może w tem wszystkim leżeć problemat prawdy, i że to, co obala, może nie być przesądem.

Krzyczał więc głośno przy stoliku, a frazesy wykrzyczane z większą ciągłością i spistością notował sobie w pamięci, jako motywy do przyszłych artykułów.

Najwięcej może przekonania miał w tem gronie młody Czybalski, poeta nie bez melodyi w swych delikatnych wierszach, człowiek niosący przez życie, ze wszystkimi ostrożnościami, z jakimi ksiądz niesie wiatyk, żywą i gorącą wiarę religijną. Ale posiadał on w najwyższym stopniu niezdolność do obrony swych przekonań. Pierwsze starcie z przeciwnikiem wysadzało go z siodła argumentów na ziemię. Znając swoją słabość w dyskusyi, chętnie milczał. Jednak teraz stał tembardziej całą duszą po stronie Gipskiego i Wackowskiego, a ci czuli instynktownie skoncentrowaną w nim życzliwość dla ich słów i nieraz, w momentach bardziej krytycznych, spoglądali w jego płonące oczy, jakby chcąc tam ognia poczerpnąć na dalszą walkę.

Był tu i Durewicz. I brał żywy udział w dyskusyi. I mówił rzeczy świeższe, mniej utarte, mniej banalne, aniżeli inni. Ale Gipski czuwał nad tem, aby na Durewicza nie spadło

z tego powodu zbyt wiele uroku i już to wyrwał mu myśli z ust, aby je dokończyć i podkreślić, już też pod nowymi myślami Durewicza kładł komentarze podstępne i przewrotne, wołając:

— Naturalnie! To przecież wszystkim wiadomo! Prawda, stara jak świat!..

Nikt zaś nie domyślał się, jaki cel tkwi w tej robocie Gipskiego, a najdomyślniejszy z kółka, Wackowski, odgadywał to ledwie, że Durewicz mówi rzeczy bardzo ciekawe i świetnie się nadające do ozdobienia niejednego artykułu.

— Ależ racya! racya!— zawołał uszczęśliwiony, gdy Durewicz powiedział, że sztuka, być może, obędzie się bez moralności, ale moralność nie może obyć się bez sztuki. — Tak, tak! Tu, czy tam, w ten czy inny sposób, w głębi, czy na powierzchni, związek tych dwóch kulturalnych potęg jest konieczny.

Flor wmieszał się do dyskusji z argumentem, że niema ani jednego wielkiego poety, który byłby naprawdę niemoralny. I gotów był dowodzić, że na powierzchni, być może, piękno i dobro od siebie stroni, a przynajmniej żyje w separacyi, ale w głębinie wszelkiego estetycznego życia jedno drugiego pożąda i jedno do drugiego tęskni. Odpowiadało to właśnie pojęciom kółka i od pewnego już czasu krzepło w świadomości nowatorów jako jeden z najważniejszych dogmatów neo-klasycyzmu.

Oponenci wkońcu opuścili stół neo - klasyczny, znużeni rozprawami i zniechęceni poniesioną klęską, w jednym z najprzykrzejszych stanów, jakie dozwolone jest człowiekowi doznać, gdy ani innych przekonać nie jest zdolny, ani przez innych być przekonany. Cierpi wtedy w człowieku prawda, a choć najszlachetniejsze to może wśród kolekcji ludzkich cierpień i ono przecież nie gardzi łatwymi pociechami.

Jakoż między oponentami powstaje samorzutna idea:

— Pójść wypić gdzie „w spokoju” szklanekę piwa?...

I oponenty idą do kawiarni naprzeciwko. A tam zaraz rodzi się idea nowa, płodna i pełna konsekwencji: zbierania się stale. Jest to już jakby rzucenie ziarna na nową reformę, na nowy kierunek w literaturze, — ziarna, które kiełkować będzie mniej więcej powoli wobec wilgoci piwa i stworzy może z czasem coś, co w żadnym razie nie będzie neo-klasycyzmem.

Tymczasem neo-klasycy sami również znużeni są zwycięstwem swoim i wcześniej się dziś rozchodzą.

Durewicz odprowadza Florę do domu.

— Ja przyjechałem na twoją premierę — mówi Durewicz.

A kiedy Flora mu za to podziękowała, Durewicz pyta:

— Powiedz że szczerze, jakich wrażeń teraz doznajesz? Radości? Rozkoszy? Mocy?

Obawy? Strachu? Co góruje nad kompleksem uczuć?

Flor uśmiecha się dyskretnie a melancholijnie.

— Powiedzieć ci szczerze, jakie uczucie we mnie dławi wszystko inne? Dobrze.

Powiem. To — smutek.

Durewicz spojrział na niego zdziwiony.

— Smutek? Na trzy dni przed premierą? Pierwszą premierą wżyciu?...

Potem zaraz umilkł, bo zrozumiał, iż o dalsze rzeczy pytać byłoby może niedelikatnością.

Flor jednak ogarnięty został przez nagłą chęć zwierzeń i spowiedzi.

— Powiem mu wszystko — postanowił bez namysłu.

Zgadywał, iż samo zwierzenie już sprawi mu ulgę. A miał jakby i nadzieję, że może Durewicz i dobrą radą mu usłuży. Wyglądał on w oczach Flora na człowieka, umiejącego rządzić swoim życiem i wiedzącego, co robić?

— Co on by uczynił w mojem położeniu? — zdjęła Flora ciekawość, bardzo próżna w gruncie rzeczy, ponieważ Durewicz z wszelkiem prawdopodobieństwem nie wchodziłby nigdy w położenia, do których Florowi drogę mościł jego temperament.

Zaproponował więc Durewiczowi:

— Słuchaj, mój drogi, mam kłopot, troskę i trudność. Zwierzę się tobie. Zamiast do ho-
Powrót z aa świata

telu, chodź przenocować do mnie. Nie będzie ci źle. A oddasz mi przysługę.

Durewicz z chęcią do usługi poszedł za Florem do jego mieszkania, nie przyjął ofiarowanego mu łóżka, lecz sam się ulokował na otomanie, starej, ale obszernej i ze sprężynami niedawno doprowadzonymi do porządku, zgasił lampę, aby ułatwić trudną rozmowę i gotów był do słuchania.

Flor opowiedział mu szczegółowo całą historię swoją, uważając ją za przeżycie dziwne i zastanawiające, za coś wyjątkowego i szczególnego, co chyba nikogo jeszcze nie spotkało od początków stworzenia, i przytem opowiadaniu swemu dając kształty problematu do rozwiązania; co czynił i dlatego, że to mu' się jako problemat przedstawiało, i dlatego, że w tych formach historia cała nabierała szczególniejszej estetyki.

Ten młody chłopiec miał w sobie potężne zapasy energii i umiał ją wyładowywać łatwo i radośnie, o ile drogi przed nim leżały jasno oświetlone. Dał sobie radę z dyrektorem a nawet mu momentami imponował swoim spokojem i stanowczem: „ja chcę tak!” Dawał sobie radę i z aktorami, którzy prędko odczuli w nim jedyną siłę, jakiej człowiek z wewnętrznym szacunkiem ulega: siłę charakteru. Ale niech tylko padły cienie na jego drogę, a uchyliła się ona od oka na jakimś zakręcie, już się we Florze chwieje wszystko i rozpęd jest dla niego cier

pieniem. Budzi się w nim sumienie i powstrzymuje zdolności do ruchu motywem obawy uczynienia kroku fałszywego, czegoś, czegoby żałował, co by go na własne lekceważenie naraziło. Znadto delikatny to chłopiec przy całej sile swojej i to mu gotuje już wiele przegranych w życiu, gdzie według doświadczonych mistrzów nowożytnych iść należy naprzód, ile starczy sił a nie zasad.

— I co myślisz teraz? — zapytał wkońcu Durewicza, wyłożywszy mu wszystko.

Durewicz przyjął problemat jako ogólny i natychmiast znalazł dla niego rozwiązanie:

— Neo-klasycy powinni się żenić wcześniej. Ot co!...

Rozumiał on życie także jako rzecz prostą, piękną i wielką. Ale chłodniejszy, ostrożniejszy i mocniejszy od Flora, z góry postanowił sobie, że nie pozwoli wkraść się sprzecznościom wewnątrz niego. Dotychczas udawało mu się wybornie, — przy szczęśliwej pomocy pomyślnych okoliczności. Taką bowiem otrzymał od losu żonę, jakiej akurat potrzeba było człowiekowi, mającemu wielkie zadania do spełnienia i pragnącemu wokoło siebie atmosfery zaufania i cierpliwości.

Flor powtórzył za Durewiczem dość bezdźwięcznie :

— Tak, pewno, neo-klasycy powinni się żenić wcześniej. Ale w tej chwili chodzi o wy

padek szczególny. Czy ja mam obowiązki wobec tej kobiety?...

— To są fałszywe obowiązki! — pospieszył zapewnić go Durewicz.

— Tak, pewno, z fałszywych sytuacji wypływają fałszywe obowiązki. Nie należy wchodzić w fałszywe sytuacje. Zgoda. Ale gdy się weszło w fałszywe sytuacje, — to czy należy wypełnić fałszywy obowiązek? Tak, jak wogóle wypełnia się obowiązek: odważnie i ściśle? Gdyby Joanna była moją żoną, — to czy ja miałbym większe czy mniejsze prawo dać jej rolę z krzywdą Malinowskiej, uszczerbkiem dla mojej sztuki i niewygodą dla tej reformy, o której wszyscy marzymy? Przecież miałbym w danym razie całe życie na to, aby wynagrodzić zawód chwilowy, zrobiony żonie, o ile byłaby ona aktorką, nieodpowiednią do roli Alcesty. A z Joanną zamykam już stosunki — nazawsze. Wziąłem od niej wiosnę upojenia i poranek radości, a nie dałem jej za to nic, bo nie chodziło jej, jak widzę, mniej więcej wcale o to, co jej dawałem w czasie tej wiosny i o tym poranku, lecz tylko o rolę. R rolę?! to jedno jej mogę dać, jako dowód, że ją kochałem i jako oznakę, że jestem człowiekiem o swój szacunek dbałym. I cokolwiek zrobię, to jedna z tych dwóch kobiet czuć się będzie przezemnie strasznie skrzywdzoną. Muszę kogoś skrzywdzić i świadomość tego musu sen mi odbiera. Wychowywałem siebie w stałym strachu przed ludzką krzywdą.

A tu dyabeł igra ze mną. On to chyba w czarnej łapie podaje mi z podłym uśmiechem wybór konieczny zrobienia złego albo tej albo tamtej. I mam przekonanie, iż wybierać tym razem muszę pomiędzy honorem a sprawiedliwością.

Durewicz począł teraz wnikać w głąb tego problemu, ale było to bardzo przykre i uciążliwe, bo w głębi problemu tego widział człowieka, szarpiącego się i jęczącego z nadmiaru skrupułów.

— Zrobiła się sytuacja czort wie jaka, istotnie — mruknął.

I w głębi duszy nabierał żalu do Flora za jego zwierzenia, jak mamy zawsze żal do człowieka, który odsłania przed nami sytuację bez wyjścia i ranę bez lekarstwa.

— Tak! To jest dziwne i trudne — zakonkludował.

I poczuł się teraz niezwykle zmęczony swą podróżą do Warszawy. Poprawił poduszkę i naciągnął na siebie kołdrę.

Flor tymczasem, odnajdując istotnie ulgę w zwierzeniach, począł wywodzić żale, coraz to rozlewniejsze:

Społeczeństwo współczesne skomplikowało się we wstrętny już sposób. Nie można żyć uczciwie i spokojnie. Wszystko popycha człowieka do tego, aby zachowywał się jak żywiol i jak żywiol ruszał przed siebie, dbając jedynie o wywią e ił, które ma w sobie na skła

dzie. Na co więc religia nagromadziła tyle trosk moralnych i na co literatura wydelikatniła troski te do najsubtelniejszego z artyzmów?

Rzucal te pytania wprost przed siebie, jakby zadal od ciemnej nocy odpowiedzi na nie.

A ze ciemna noc milczala, DureNvicz zas zasypial, Flor odpowiedzi nie otrzymywal, co go zachecilo do nowych pytan:

— Niedość jest cierpieć. Niedość z odwagą nadstawiać plecy pod ciosy losu. Niedość być nawet gotowym do przyjęcia na swoją skórę jakiego tam płazowania, komu innemu przeznaczonego. Samemu trzeba jeszcze siać po świecie zło i rodzić cierpienie. Trzeba być, koniecznie trzeba być prześladowcą, cie- ^ mięczą, katem. Ofiara nie może poprzestać na pięknej roli i musi niszczyć syn?patye, zdolne wiązać się około jej krzywdy, ponieważ sama warta jest tyleż, co i kat. Nie można uniknąć okropnego losu robienia ludziom źle. Nie można wykręcić się od tego, żeby nie stać się parobkiem Niesprawiedliwości. To rozpacz — żyć. Czy może być coś tragiczniejszego nad to spełnianie czynów, które dusza potępia całą swoją energią moralną, i iść z siłą fatalności ku żalom, które zgóry ma się za próżne? Ach! jeżeli jest mus, to poco jest jeszcze i żal?! Jeżeli mam być szczęką u żelaznych obcęgów powszechnego kata, to po co pali mi się w piersi płomień sprawiedliwości? Aby i ten cierpiał, który męczy? Aby i ten męczył, który cierpi?

To jest los, to jest przeznaczenie człowieka? To jest najgłębiej i najistotniej w człowieku ludzkim?

Uświadomił sobie, że bluźni.

— Słuchaj, czy wierzysz w Boga? — zapytał Durewicza.

Durewicz wierzył w Boga. Ale już spał snem sprawiedliwego i lekkie chrapnięcie ostrzegło Flora, że od pewnego czasu już prowadzi dialog z nocą.

Bez żalu do śpiącego towarzysza układać się więc począł do snu. I nagle, jakby przez samo prawo odmiany i różnorodności, poczęły napływać mu do głowy uczucia lepsze. Pomyślał, że tyle jest jednak na świecie piękna i rozumu, choć nie wszystko jest pięknem i rozumem, iż Moc nieznana a dobroczynna umie pewno jakoś godzić sprzeczności rzeczy i harmonizować krzyki życia.

I zaraz potem porwały go myśli jeszcze jaśniejsze — o premierze. W duszy jego zrobiło się widno, niby na rampie teatralnej po puszczeniu świateł. Poczul się w przeddzień tryumfu. Przestał filozofować, — bo człowiek filozofuje jedynie w niedoli, i usnął z uśmiechem na ustach, w słodczy oczekiwania zdarzeń bliskich, wielkich i radosnych.

XV.

a premierę „Powrotu z za świata” stawiał się w wielkim komplecie święty sztab Neo - klasycyzmu, wzmocniony w swych dobrych zamiarach przez rozrzuconych po widowni braci, przyjaciół, rodziców, narzeczone, żony, siostry, ciotki i ich najbliższych znajomych. Przybyło też kilkunastu filologów i nauczycieli języków starożytnych, pomiędzy którymi Gipski przeprowadził zgrabnie propagandę, dając do zrozumienia temu zniechęconemu i już zrezygnowanemu światu, że stoi on właśnie w przededniu nowej chwały.

— Łatwo będzie puścić w ruch frenetyczny ręce tych ludzi— kalkulował.

Człowiek ten pojmował, że tryumf powinien być ułatwiony i zwabiony przez inteligentne przygotowania, choćby szło nawet o bardzo dobrą sprawę. I mógłby dziś dać dyskretnemu słuchaczowi parę objaśnień, dotyczących uniwersy-

teckiej młodzieży, która obsiadła dość gęsto galeryę i zachowywała się dziwnie wyzywająco jeszcze przed podniesieniem kurtyny, przygotowana widocznie dać lekcję entuzjazmu duszom

ciasnym i ślepy. Gipski wiedział dobrze, że , I dla studenta prawdą jest tylko „nowa prawda”.

Przybyło także na premierę grono osób, spodziewających się skandalu, nadzieję którego dawały ostatnie, krańcowo zuchwałe artykuły Wackowskiego i podrażniona wkońcu cierpliwość zwolenników szkół dotychczasowych. Dr. Ja- godniak zapewniał w kole swych znajomych, że na premierze:

— Będą się bić, jak na pierwszym przedstawieniu Hernaniego.

To sprowadziło dziś do łóż kilka salonów, uznających normalnie w teatrze tylko operę i operetkę

Dwie loże zajęte były przez panów z Jockey Clubu, co stanowiło zasługę księcia Mięcia. Kilku zawodowych spirytystów przyciągniętych zostało do teatru, dzięki nieporozumieniu, rozpowszechnionemu przez afisz. A nieporozumienie to sprowadziło i kilka dusz arcy - naiwnych, spodziewających się zobaczyć w teatrze jakiś bliższy komers z duchami i dowiedzieć coś nowego ■ „o tamtym świecie”.

Poza tymi widzami przypadkowymi reszta ogromna byli to bywalcy stali teatralnych premier. A więc naprzód dwa rzędy zawodowców, krytyków teatralnych, ludzi przeważnie wyziębionych,

znudzonych teatrem i znużonych życiem, o wyczerpanej wrażliwości, i marzących o spokojnem spędzaniu wieczorów przy ognisku domowem, albo w swoim kąciku kawiarni, do której nałogowo przywykli. Ci z rodzajem podziwu patrzyli na staruszka Spielnickiego, w duszy którego ani chłód wieku, ani ogromna kolekcya teatralnych zawodów i przykrości nie była w stanie przygasić pierwotnej, młodzieńczej pasyi do teatru. Ten był codzien w krzesłach. Ten wiedział wszystko, co się w teatrze dzieje i pamiętał wszystko, co się tu od pół wieku działo. Obchodziły go i nowe sztuki i nowe plotki i interesy, jakie robi na teatrze dyrektor, — zapewne nie w jednakowym stopniu, bo nowe plotki były mu ciekawsze aniżeli nowe sztuki, — wszystko to jednak dość żywo, aby siedemdziesięcioletniego człowieka obronić przed starością. Staruszek miał sekret żywotności, wodę młodości do rozporządzenia: pasyę.

Spotykał on się często z młodym krytykiem, Jańskowskim, człowiekiem złym, chytrym, owładniętym przez inną pasyę, przez namiętność władzy, znaczenia, rządzenia. Ten marzył o tem, aby ludzie się go obawiali, z nim się liczyli, byli mu posłuszni. I ku tym celom obracał swoje pióro teatralnego krytyka. Dyrektor był mu, jakby wróg urodzony, z którym należy już to walczyć na ostre, już to politykować chytrze, już to dyplomatyżować wytwornie. Od aktorów wymagał niskich ukłonów, od aktorek uprzej

mych i obiecujących uśmiechów. Gdy zapragnął od której łask bardziej określonych, zaczynał zawsze od łania. Zmaltretowana złośliwie i okrutnie aktorka przychodziła do niego, ze łzami w oczach. na drugi dzień po krytyce, gotowa często na wszystko. Uczciwe, albo bardzo utalentowane, albo silne poparciem innych krytyków, wystawione były na nieskończone* pełne pomysłowości i perfidy szyskany, o ile zmienne w teatralnym świecie stosunki nie dały tej albo owej z tych opornych okazji i chęci do zrehabilitowania się w oczach Jaśkowskiego, przez oddanie mu jakiejś usługi. A człowiek ten, goniący ciągle za rozkoszami władzy, choć tak chimerycznej jak ta, co go łudziła, posług ustawicznie potrzebował i był w gruncie rzeczy niewolnikiem wszystkich tych, od których wymagał, aby przed nim drżeli ze strachu i respektu. I w ten sposób każdy jego sąd krytyczny, każde zdanie o sztuce, autorze, aktorze było wirtuozowskim popisem nieprawości, bękarctwem i kompromisem pomiędzy obawą zbytniego skompromitowania swych celów i potrzebą wypowiedzenia nurtującej go złości.

Na premierę sztuki Flora przyszedł zdecydowany zerznąć cały kierunek neo-klasyczny, ponieważ ten nie pomyślał o złożeniu mu czołobitnego pokłonu, a przedstawiał się zbyt słabo na to, by się go obawiać. Jaśkowski wywnioskował bystro, że nic mu zwłaszcza nie grozi od Wackowskiego, ponieważ ten gorliwością nad

mierną, i szczerością nie wystrzegającą się ekscesów, już nadwreżył swą ledwie poczynającą się ustalać powagę.

Teraz zbliżył się Jaśkowski do Spielnickiego, dla którego udawał szacunek, aby pomówić z nim o teatrze greckim. Wyciągał zwykle staruszkę na informacje, które umiał następnie dobrze w swych krytykach sprzedawać.

Śród krytyków był i Mucyk, człowiek również zły, któremu nie udały się własne sztuki, żądał przeto niemożliwego stopnia perfekcyi od wszystkich innych. I Bryczowski, człowiek uczciwy i myślący, bezradnie zgubiony wśród manowców i krzyżujących się dróg nowej literatury i nowej krytyki, gdzie na próżno gonił za sprawdzianem, pewnikiem, łokciem estetycznym, — piszący zawsze małą cząstkę tylko tego, co istotnie myślał, wykręcający się od kwestyj, które, jak się stale spodziewał, już jutro, po sprowadzeniu nowej książki o estetyce, przedstawią mu się w jasnym nareszcie świetle. I Krycki, nie wierzący w nic sceptyk, a usiłujący nudę życia i płaskość swego zawodu urozmaicić wyszukiwaniem cnót estetycznych w sztukach, które robiły klapę, i pokazywaniem bezsensu dzieł, nagrodzonych furorą; ale ponieważ mu się to udało parę razy nadspodziewanie i wyrobiło opinię krytyka oryginalnego i głębokiego, zachwiał się w swoim sceptycyzmie i był już niedalekim od traktowania siebie poważnie.

Między tymi ludźmi, stanowiącymi publicz-

ność, najtrudniejszą do zabawienia, jeden był prawdziwie nieszczęśliwy. Lubski, stylistą świetny, umysł wykształcony, charakter, nasycony popędami do życia prawego, zakochał się w aktorce i całe istnienie swe wykrzywił, aby zapewnić jej nowe role naprzód, dobre krytyki następnie. Dla tego usługiwał swym piórem dyrektorowi, niby jakiś fagas krytyki. Dla tego okazywał swym kolegom względy uniżone, przyjaźń nieszczera i interesowną, gotową jednak do wszelkich usług, bez wyboru. Dla tego nie wahał się przed poniżeniem, nieraz zebrząc u sąsiada:

— Mój kolego, napiszcież dobrze o Stawimskiej...

A na pierwszy, choćby najbardziej chwiejny i niewyraźny znak zgody, chwycił kolegę za rękę, chcąc go związać i obowiązać swym podziękowaniem.

Wystawiał się na śmieszność i na politowanie. Tracił wszelką miarę w pochwałach, gdy pisał o kochance, co sygnalizowano sobie i czytano w kołach literackich, jako smutne curiosa. Mucyk, który był zły bez interesu i Jaśkowski, który był zły dla interesu, bawili się nikczemnie tą słabością i kluli nieraz piórem Stawimską, ciesząc się wyobrażeniem scen, jakie aktorka będzie o to robić ich koledze. Stawimska nie oszczędzała zresztą Lubskiego, znudzona jego przywiązaniem bez miary, a więcej jeszcze rozzłoszczona tak częstą jego

niemocą dopomożenia jej w karierze. Po okrutnych słowach i pogardliwych spojrzeniach kochanki, Lubiński wychodził więcej jeszcze rozmiłowany, a przy spotkaniu się ze swymi kaptami, ścisnął im mocno ręce i z psią pokorą patrzył woczy. Jaśkowski używał go do swoich celów i ile razy chciał od niego nieklarownej przysługi, zaczynał od wbicia porcy szpilek w Stawimską. Mucyk był niczem nieprzejednany, ponieważ niczego nie potrzebował. Był on złym bezinteresowną a więc najgorszą ze złości.

Krytycy zajmowali parę pierwszych rzędów foteli, usadowieni przez chochlikowatą złośliwość sekretarza teatralnego w ten sposób, że każdy z nich miał za sąsiada tego z kolegów, którego najtrudniej znosił, i pomieszani trochę ze snobami we frakach i smokingach, którzy przychodzą do teatru pokazać się i dowieść światu wyższości intelektualnej przez swą do doskonałości doprowadzoną niewrażliwość na sztukę.

Snobów było zresztą w teatrze pełno na wszystkich lepszych miejscach. Bliżej sceny przemysłowcy i finansiści, napróżno i zapóżno usiłujący rozszerzyć horyzont swych użyć; lekarze i adwokaci, poszukujący dobrej klienteli i wchodzeniem ludziom w oczy usiłujący zastąpić brak powodzenia w klinikach i salach sądowych; handlowcy różnego rodzaju i stopnia, walczący często pomiędzy potrzebą najszerzego ujawnienia ludziom towaru, zasługującego na wielki pokup, a dyskrecją, doradzającą im osłanianie raczej

incognito zajęcia, nie należące do najwykwintniejszych. Dalej od sceny świat drobniejszy urzędników o ambicyach, które życie oszukało, kasyerów, referentów, kontrolerów, mogących w łatwy sposób, kosztem tylko nieco przydrożnego biletu, zasiąść w najdobrośszym towarzystwie, jakie zdobi wielkie miasto, wśród elity narodu i wraz z nią przeżyć szereg tłumowi jeszcze nieodsłoniętych wrażeń, tu, na szczytach społecznych, W ostatnich rzędach, obok tych, co nie pośpieszyli się ze zdobyciem miejsc lepszych i do stanowiska swego społecznego odpowiedniejszych, siedzą ludzie prawie ubodzy, rodziny sklepikarzy i wdowy - emerytki, istoty szare, hipnotyzujące się blaskami, jakie idą od nagromadzonych tu milionów, tytułów, talentów i renomy.

Kobiet przynajmniej połowa. Najpiękniejsze, jakie posiada miasto, przychodzą na premierę dać się obejrzeć i nasycić darem, którego cenę wyczytać mogą jedynie w oczach innych. Mają tu dobór znawców, galerię wyjątkową, wytrawne jury, i tem rozkoszniej przed tą publicznością dać przedstawienie swojej piękności, A za kobietami pięknymi przychodzą te, które bez piękności umieją osiągnąć wszystkie tryumfy życia, elegantki, wytwornisze, cacka żyjące, obdarzone wdziękiem pociągających uśmiechów, niepokojącym powabem ruchów nagłych a zwinnych, sprytem migocącym w oczach, rozumiejących najlepiej to, co nie jest wypowie-

dzianem. Obok zaś tych tryumfujących widać kobiety, które były pięknymi, albo eleganckimi, albo wprost powabnymi, i już znajdują się w różnych stopniach walki z niemilosierdnym zstępującym w dół życiem; te przesadnie wykosmetykowane, przesadnie ubrane, chętnie błyszczące brylantami i smutne. W dalszych rzędach siedzące kobiety są mniej szczęśliwe lub mniej nieszczęśliwe, ale nie mniej dotknięte snobizmem premierowym. One to podtrzymują w swych mężach przygasające ambicje, którym życie odmówiło sankcji; one kwasem swych niezadowolonych z tego, co się ma, popychają mężczyzn do brania całej arii istnienia o ton za wysoko; one najżywiej i najintensywniej odczuwają to, co atmosfera premiery ma oryginalnego, rozkosznego i odurzającego. I to z tych dusz małych, oprawnych w skromne kondycje egzystencji, paruje najsilniej w atmosferę premierową subtelny, nieuchwytny a każdej duszy ludzkiej miły alembik zadowolenia z tego, że się należy do najwybrańszego grodu.

Są jednak tu i ci, co interesują się sztuką. Przedewszystkiem ci, którzy interesują się nią zanadto, snoby natrętne, wolni strzelcy krytyki, wyrażający w ciągłych i przesadnych gestach każde odebrane wrażenie, ciągle się zżymający, wstrząsający głową, wzruszający ramionami, surowi i gniewliwi, i wypowiadający w antraktach pełnym głosem sądy nieodwołalne, któreby chętnie wydrukowali w jakim dzienniku, gdyby mogli i gdyby umieli. Widzieli oni dużo teatrów i czy

tali wiele krytyk. Z urzędowymi zoilami chętnie by weszli w rozmowy, aby pozwolić im uniknąć błędów w jutrzejszych ich artykułach, gdyby ci tylko mieli chęć do rozmowy. Ale ci nie mają tej chęci prawie nigdy,—nie przez dumę zawodową jednak, jak tamci mniemają, lecz przez obojętność zawodową. Po całej sali są jednak ludzie, — im wyżej, tem ich więcej, — którzy przyszli na premierę do teatru, aby mieć po- prostu nowe wrażenia w pełni ich świeżości; aby doznać tych wszystkich niespodzianek i zadzi- wień, jakie przygotował autor, a które gadatliwi krytycy zdradzą na drugi dzień po pierwszym przedstawieniu; aby jak można najprędzej dowiedzieć się, co nowego przynosi na świat nowy autor i o ile autor starszy opanował już swoją sztukę. Śród tej klasy publiczności trafi się cichy, skromny, a wszechstronnie rozwinięty diletanło, umiejący delectować się każdą cząstką piękna i posiadający rzadką mądrość zapominania o wadach utworu, mającego i zalety. I literat niedoszły, którego los uczynił inżynierem albo aptekarzem, oddychający z lubością atmosferą młodzieńczych marzeń. I paru młodych ludzi, którzy już trafili do pism, będących chwilowo bez prenumeratorów i ogłoszeń, a zazdroszczących tym potężnym mężom z pierwszych rzędów krzeseł, którzy w poczytnych dziennikach mogą wypowiedzieć wszystkie myśli, jakie im oto do głowy przychodzą. A właśnie najwięcej myśli przychodzi do głowy na premierze mło-

Powrót z za świata

dym ludziom, którzy ich wypowiadać publicznie nie mogą?!.. I wreszcie tam, najwyżej, drży nie-cierpliwościami ostre i rozkoszami, całą duszę roztapiającymi w złudzeniach mocniejszych od wszelkiej rzeczywistości, kilka istot przez los już wybranych, już namaszczone w duchu, — wyrostek w uczniowskim mundurze, który szepce sobie:

— I ja was dnia pewnego prowadzić będę, gdzie mi się spodoba!

I młodziuchna kwiaciarka ze śladami farby na cienkich paluszkach, mówiąca sobie z ogniem w oczach:

— Ja mam także głos, który potrafiłby wam łzy wycisnąć...

Wiatrowski kupił dwa miejsca w dziewiątym rzędzie. Durewicz poszedł na galeryę, aby znajomi nie psuli mu swemi uwagami wrażeń. A Flor? Flor był dziś nieobecny w teatrze. Od samego rana owładnął nim niepokój tak przykry i niedający się opanować, że autor kręcił się po całym mieście w sposób wszelkiego celu i inteligencji pozbawiony. Około południa pomyślał, że najlepiej było by wziąć jakiś środek nasenny i obudzić się nazajutrz. W głowie jego nie była zdolną utrzymać się żadna myśl przez czas dłuższy i z pola świadomości jego pierchało wszystko, co tylko tam, jakby przypadkiem złym, trafiło, niby z miejsca groźnej katastrofy. Rzeczywistość opanowała jego istotę, jak niewolnicę, istotę wewnętrzną,

w kłęb potężnych a milczących w tej chwili popędów związaną pod tą barwną łąką świadomości, na którą wychodzą igrzać jego myśli i kwitnąć uczucia. I Flor zrozumieć nie mógł, w jaki to sposób te kilkadziesiąt afiszów, rozlepionych w mieście, na które dziś nie mógł patrzeć i których nie widział, pomimo jego woli, pomimo jego oporu, jakby postronkami jakimiś unieruchomiły jego duszę i wtłoczyły na jakiś pal bezrozumnych niepokojów, gdzie nie może ani siedzieć, ani leżeć, ani stać. Nie jest zdolny myśleć o niczym innym, oprócz o swej niezdolności do myślenia. Walczy więc z czasem, jak z okrutnym wrogiem a zbrojcem. Jednak na środek nasenny się nie decyduje. Miał nadzieję, że uspokoi się do wieczora i pójdzie do teatru; że po szalonym rozigraniu się jego nerwów nastąpi wyczerpanie, a z nim spokój, choćby za cenę stępienia. Istotnie, stępienie zaczynało przychodzić ku wieczorowi, ale wraz z nim przyszedł także rozstrój żołądka. Nie sposób było myśleć o pójściu do teatru. Musiał zrezygnować Flor z wrażeń premierowych. Pozostał więc w domu.

Na zegarku zaś śledził powolny, nikczemnie dziś powolny obrót większej wskazówki, — już nie mówiąc o mniejszej, w której na razie Belzebub urządził sobie wille — i odgadywał, co się w danym momencie dzieje w teatrze?! Oto siódma. Aktorzy już są w garderobie. Joasia zdejmuje swe suknie. U dolnych drzwi, wio

dących na paradyz, zbierają się najzapaleńsi widzowie...

— Taką to los mi przygotował premierę?! Tak wygląda dzień moich spełnionych marzeń?! — dziwił się i żalił.]

[5][gllia[g0li0i[ilg[^

XVI.

o pierwszym akcie Gipski poleciał za kulisy.

Dyrektor podbiegł do niego z daleka i zapytał: — Gdzie jest autor? Gipski się ździwił:

— Jako? niema go tu?

— Nie pokazał się nawet. Myślałem, że jest tam gdzie między wami?

— A ja byłem przekonany, że tu siedzi. Powinien się być ukazać przecież, kiedy go wołali?!

Pełen doświadczenia dyrektor odpowiedział jednak:

— No, nie. Choćby był tu, nie puściłbym go jeszcze na scenę. Oklaski nie były powszechne. Leciały z jednej tylko strony paradyzu.

— To młodzież go wywoływała.

— Zresztą pierwszy akt nic nie zawierał. Proste przygotowania. Byłoby lepiej powiedzieć młodzieży, że to po drugim akcie należy zrobić wielką awanturę.

— Ale teraz może się młodzież już obraziła?.... Boję się trochę o to.

— Możebyś pan wstąpił na chwilę na paradyz? — zaproponował dyrektor.

— Ma się rozumieć, wstąpię.

— Nie dałbym sobie uciąć palca, że pan tam znajdziesz Romanowskiego, ukrytego jak fijołek w trawce?! Swoją drogą, jeżeli on nie pokaże się na scenie po drugim akcie, zgubi mnie i siebie. A tacy smarkacze do wszystkiego są zdolni.

Gipski pospieszył uprzejmym uśmiechem potwierdzić opinię dyrektora i poleciał zaraz na paradyz.

Szło wszystko dotychczas dobrze. Akt pierwszy minął spokojnie, ale nie zraził niczem, nie zniechęcił nikogo. Ten akt był przeróbką zakończenia sztuki Eurypidesa, w której to przeróbce Admetes przedstawiony był mniej podłym a Herkules mniej głupim. Alcesta ukazywała się na samym końcu, aby zrzucić zasłonę i powiedzieć jedynie: „Tak, to ja”. Było czuć, że autor chowa wszystkie efekty na dalsze akty, a w pierwszym informuje tylko widza o ludziach i ich stosunkach. Było czuć już jednak, że dwoje tych ludzi ma przed sobą ciężki jakiś rachunek do zdania. Zapowiedział to wyraźnie

poważny, głęboki i szorstki ton tych trzech krótkich słów Alcesty: „Tak, to ja”. Za świat poszła w dobrowolnej ofierze, przynoszącej Admetesowi życie wiekuiste, heroiczna gołąbka, z za świata wróciła ta słodka ptaszyna surowym sędzią i wyniosłym prokuratorem. W atmosferze teatralnej rozdzielała się w skupieniu elektryczność, dla przyszłego wytwarzania piorunów. Publiczność została zahaczona, napoczęta, ale nic więcej. I dlatego gwałtowne oklaski po spadnięciu kurtyny zraziły wszystkich swą aprio- rycząnością.

Staruszek Spielnicki uśmiechnął się na nie ironicznie i szepnął do Lubskiego:

— Dzisiejsi młodzi autorowie trzymają się poczciwej zasady, że należy pomagać sobie, aby otrzymać pomoc Opatrzności.

Jaśkowski zawołał głośno:

— To jest klaka!

I nachylił się do Lubskiego, mówiąc:

— Trzeba zerznąć tego młokosa za takie kawały.

Lubski skłonił głowę i przyjął to jako rozkaz.

Ale Mucyk, który spoglądał na paradyz przez lornetkę, zawołał:

— Wiecie państwo, że to studenci tak popierają autora.

Śród krytyków zapanowała ciekawość, pomieszana z niepokojem i respektem. Czy doprawdy studenci?! Ależ tak! Pełno mundurów

na paradyzie. Studenci. A że krytycy należeli do społeczeństwa, znającego mores przed młodzieżą, odrazu sztuka Romanowskiego wydała się im wyraźnie interesującą, a Jaśkowski znowu nachylił się do Lubskiego, i tonem, odwołującym wydany już rozkaz, rzekł:

— No, patrz pan, istotnie, studenci...

Tymczasem panie z dalszych rzędów popisywały się jedna przed drugą znajomością świata premierowego. Wymieniały nazwiska piękności i zapamiętywały sobie szczegóły ich tualet; informowały jedna drugą o ilości milionów finansisty, rozmawiającego dziś zbyt uprzejmie ze wspaniałą blondyną, żoną dyrektora cukrowni; i robiły przegląd fizjonomii krytyków, aby z wyrazu ich twarzy odgadnąć, co znajdą jutro w kurjerach i gazetach. Jedna z tych pań była szczególnie uszczęśliwiona, mając dziś przy swym boku kuzyna ze wsi, prowincyona- listę, którego mogła wtajemniczyć w te strony życia wielkomiejskiego, jakie nigdy prawie nie są odsłaniane w tak gadatliwej jednak prasie współczesnej. Dwie inne panie były w szczególniejszy sposób podrażnione, ponieważ każda z nich wiedziała wszystko, a jedna drugiej dowieść chciała, że wie więcej i lepiej. Nauczyciele języków starożytnych czuli się istotnie uszczęśliwieni, co nie przeszkodziło im, z nałogu nabytego, wyszukać w sztuce błędów, tym razem archeologicznych. Ambitniejsi odnajdywali już ich pół tuzina.

Wackowski polemi

zował z Bryczkowskim. Spierali się o życie form artystycznych, a choć byli różnego zdania, powaga tematu wywiązała między nimi chwilową sympatyę i razem poszli do bufetu na kieliszek koniaku.

Wiatrowski się już znudził. Oznajmił Malinowskiej, że sztuka jest drewnianą piłą i że niemożliwym będzie, aby się ludzie kiedykolwiek bawili na takim pogrzebie. Alcestę nazwał emigrantką z krematorium. Malinowska myślała o roli Alcesty z aktorską monomanią a ponieważ w akcie pierwszym Alcesty prawie że nie było na scenie, z aktu tego nie odebrała przeto żadnych literafhie wrażeń. Nieciemska przyglądała się sztuce z loży aktorskiej i spostrzegłszy, że Alcesta miała tylko parę słów do powiedzenia, zaczęła podejrzewać, czy ją tu nie wzięto na kawał?! Miodowski pokręcił się za kulisami, aby mózdz przed Malinowską ganić jutro grę Kryckiej. Panowie z klubu arystokratycznego trochę się nudzili, do czego pomagał im specjalny do nudzenia się talent, będący przywilejem sfery. Książę. Miecio czekał niecierpliwie, kiedy się oświeci jego serce i kiedy dowie się stanowczo, czy Joasia jest la plus dilicieuse des petites femmes, le plus precieux des bibelołs damour, czy też tylko une espece de crampon. Oklaski sali i artykuły krytyków miały wyedukować niedokształcony jeszcze w tej chwili jego popęd.

Gipski przekonał się na paradyzie odrazu,

że młodzież ani miała w głowie tym razem idei obrażenia się na autora za to, iż nie wyszedł posłusznie na rampę na jej pierwsze zawołanie. Byli tu głównie medycy i farmaceuci, członkowie kółka samowykształcenia się w marksizmie. Przypadkowo Gipski miał do kółka tego dostęp i zagitował je na dziś z najwyższą łatwością. Wolałby filologów i nawet o nich się starał trochę, ale zapóźno o tem, niestety, pomyślał. Młodzież okazała się zresztą bardzo zadowolona ze sztuki. Niektórzy krzywili się wprawdzie, że napisana jest wierszem, ale inni wyraźnie opowiedzieli się za wolnością. Tak, precz z tyranją wszelką! Wszystkich najwidoczniej zachwycało to, że mieli rolę do odegrania, zdanie do wypowiedzenia i okazyę dokuczenia podłej opinii i sytej starości.

D-r Jagodniak składał wizyty paniom po łóżach. Niektóre występowały do niego z pretensjami.

— Obiecywał doktor na dziś awantury, a tu nic?! Jak na zwyczajnej premierze?!

Dr. Jagodniak ironicznie się uśmiechał:

— Bardzo żałuję, proszę mi wierzyć — odpowiadał.

Podniecenia było dziś niezawodnie więcej, aniżeli na zwykłej premierze. Ale dawało się ono czuć głównie wśród zgromadzonego tu literackiego świata. Masa premierowa, której sprawy sztuki były obojętniejsze od wielu innych, zachowywała się cierpliwie.

Tymczasem Joanna drżała z niepokoju i trwogi przed nadchodzącym momentem wysokich odpowiedzialności. Wokoło siebie czuła atmosferę nieprzychylną i złowrogą. W oczach kolegów czytała nieufność, a w każdym geście kręcącego się dziś po scenie dyrektora, niby dziki zwierz w klatce, brutalną i ledwie że nie rzucaną jej w twarz pretensję. Spodziewała się, że w antrakcie przyjdzie do niej Flor, albo ksiązę Miecio. Z jaką wdzięcznością uściskałyby im rękę, potrzebując tak bardzo w tej chwili, aby jej rękę uściskał ktokolwiek z życzliwością. Ale nie pokazał się ani jeden, ani drugi.

— Jacy ci mężczyźni są podli! — szepnęła sobie, gdy antrakt dobiegał do końca.

Przywołała do duszy całą odwagę, gdy reżyser stuknął kijem o podłogę, i weszła na scenę krokiem niepewnym, który jednakże dobrze odpowiadał istocie, powracającej z Hadesu. Alcesta otwierała akt drugi monologiem o stu wierszach, z których Flor nie pozwolił tknąć reżyserowi ani jednej literki. Było hymn do światła, dźwięczący radością i uniesieniem, i z namiętą furją poetycką sławiący rozkosz życia. Rozpoczął się czterema wierszami, najpięk- niejszemi, jakie muza podpowiedziała poecie, a każdy z tych czterech wierszy był całością w sobie, osobnym krzykiem wiosny do słońca, myślą całkowitą, zdolną jak ptak na własnych skrzydłach lecieć w lazur rozszrebrzonych niebios. Joanna wypowiedziała poprawnie te wier

sze, zostały one więc dosłyszane, zrozumiane i w każdej duszy wrażliwej na piękno zrobiły, jak gorący stempel na wosku, odcisk za odciskiem. W rzędach krytyków obudziło się zdumienie i wychylać się począł podziw. Staruszek Spielnicki rzucił długie spojrzenie na swych towarzyszy, jakby ich zapytywał, czy słyszeli? Górne sfery poruszyły się jakimś, niedającym się wyrazić, szelestem, w którym dosłyszeć było można oswobodzenie oddechu, przez działanie czaru zapartego na czas pewien w piersi. Hrabia Zdziś, un lettri, wypuścił z ust znaczące: oou! Księżę Miecio szepnął do lornetki, którą trzymał opartą na nosie: „Istotnie, bardzo ładna”... Joasia natychmiast odczuła wrażenie, jakie wywarły jej słowa, i z pewnością siebie tem większą, im mniej spodziewaną a bardziej utęsknioną, ciągnęła dalej śpiew do światła, ostro wybijając rytmy, grając wyraźnie rymami, jakby była nie- tylko wirtuozem, ale i narzędziem muzycznym, podniosła i rozlewna, daleka od naturalności o całą tę przepaść, jaka rozdziela poezję od natury, — taka, jak chciał ją mieć Flor. Czowała, że się jej udaje. Ale potem nastąpiła część druga hymnu do światła i ta część była wspomnieniem podłej ciemności Hadesu i wyrazem wstrętu do świata cieni, a wkońcu gwałtownym procesem, wytoczonym bogom o ich zawiść do ludzi i okrucieństwo, zwierząt nawet niegodne. Trzeba było to wszystko wystopniować i na to brakło aktorce dość stopni.

Czar poezji jednak już działał. I widownia z napięciem oczekiwała, co powie sobie tych dwoje ludzi, połączonych przez Herkulesa, za cenę zgwałcenia praw śmierci nad światem. Autor w tym miejscu zamienił się na psychologa, aby wykazać, że takich praw nie gwałci się bezkarnie. Bo oto Alcesta spostrzega, nawet z przerażeniem własnym, iż męża już nie kocha. Ofiara, jaką na ołtarzu miłości złożyła, była za- wielka. Wypróżniła jej serce. Sytuacja podnosi się do napięcia, bo Admetes teraz kocha swą żonę, jak nie kochał nfgdy, jak nie kocha nawet siebie, bo i on do najwyższych dla niej ofiar czuje się skłonny. Przeklina siebie, iż jej ofierze nie był zapobiegł. Wyrzeczę się nieśmiertelności, gdy chwila uderzy, i razem pójdą do Hadesu. Matka Admetesa napada z furią na Alcestę, ale ojciec Admetesa, pamiętny dzikiej pretensyi syna, chcącego, aby to on zastąpił Alcestę w Hadesie, staje po stronie synowej. Wkońcu wszyscy znieważają się wzajemnie, z wielkim nakładem złorzeczeń i przekleństw, w jaknajbardziej prawowiernie grecki i klasyczny sposób, zdolny w najsłodsze drżenie wprowadzić wielkie cienie Homera, Eschylosa i Eurypidesa.

Gipski znowu leci za kulisy.

— Autor?! Gdzie autor?! — woła do niego zrozpaczony dyrektor.

— Niema go? Więc go niema?

— On nas gubi!

Paradyz, istotnie, szalał od oklasków. A pod-

niecano szal ten z krzesel, gdzie neo-klasycy i ich bliscy usilowali owacye zamienic na burze entuzjazmu. Durewicz darl sie na galeryi, jak opetany. Nauczyciele jezykow starozytnych powstawali z krzesel i wymachiwali rekami w strone sceny. Wackowski ryczal na przodzie widowni. Krytyka sie jednak podzielila. Niektorym * ostatnia scena wydalala sie ordynarna i smieszna. Inni twierdzili:

— To jest greckie? To jest wlasnie greckie!
Staruszek Spielnicki krecil glowa.

— Niema co mowic, — szeptal rozjasniony i odmłodzony, — przybyl nam poeta.

Nato podszedl do niego Nito, dramaturg o dojrzałym talencie, i, zaniepokojony o losy sceny narodowej, oddanej eksperymentom ekscentrycznym, wszczal z krytykami dyskusye:

— Talent?! Poeta?! Dobrze. To sie pokaże przy drugiej sztuce. Nie sadzmy nikogo z pierwszej ^ij doradzal dobrotliwie krytykom.

Ale w zadnym razi nie ma co tu mowic o ja- ^

kimś nowym kierunku? o jakiejś rewolucyi literackiej?! Jest nowa sztuka, i na tem koniec. Gdzie w tem jest program?

Mu cyk pośpieszył poczęstować Nitę gorzką pigułką:

— Słyszałem, że oni mają już kilkanaście sztuk gotowych, a ta ma być najgorsza jeszcze. Wezmą w pacht teatr, nie ma co mówić? Na dziesiątek lat.

Nito podejrzewał podstęp.

— To pogłoska tylko — zauważył. Nie tak to łatwo napisać kilkanaście sztuk dobrych. Zresztą nie tworzy się sztuk hurtem.

Jednak zrobił się markotny.

Krycki martwił się trochę, że sala jest podzielona, nie miał więc przeciw komu pisać. Bryczkowski zaś, stanowczy przeciwnik neo-klasycyzmu, począł się chwiać. Jaśkowski właśnie pokazał mu entuzjastyczne brawa, bite przez filologów:

— Patrz pan. Starzy, ' poważni ludzie są wzięci...

— To prawda, — szepnął zdumiony Bryczkowski.

Dosłyszał to Mucyk i zaraz zwrócił uwagę na to Nicie. To był już cios dla dojrzałego dramaturga. Pełen goryczy udał się do bufetu.

Jaśkowski zaś pomyślał sobie, że prąd neo-klasyczny staje się istotnie siłą, a on lubił igrać tylko ze słabością. I postanowił zaraz młodych powitać entuzjastycznie.

Tymczasem oklaski nie ustawały. Dopominano się o autora przez cały kwadrans, a że temu żądaniu nie było sposobu uczynić zadość, ukazywała się publiczności Alcesta i Admetes, z uśmiechami na twarzy i z dłonią w dłoni. Paradyz wreszcie ochrypł, a krzesła się pomęczyły. Neo-klasycy poczuli się złościć na Flora. Co za koncept, schować się na premierę w jakąś mysią dziurę?! Powodzenie już rodziło owoc swój:

zazdrość. I niektórzy młodzi neo-klasycy szeptali wzdętymi pogardliwie wargami:

- Fałszywa skromność...
- Udawanie...
- Kabotyzm...

Mógł przecież się pokazać na chwilę?! Jedni potępiali go życzliwie, drudzy złośliwie. Gipski słuchał tych głosów z zadowoleniem. Był on wewnątrz rozdarty przez niemożliwe i sprzeczne życzenie, aby powodzenie „Powrotu z za świata” było wielkie i aby nie było ono powodzeniem Romanowskiego. Salę przeglądał okiem organizatora zwycięstw, a tak naturalnymi mu wydały się skutki zręcznych jego przygotowań, że widok nacisku na wrażliwość publiczności, wykonywanego przez paradyz bujny, hałaśliwy, zuchwały, w którym grzmiał jedynie temperament młodości, czepiającej się pierwszej lepszej przechodzącej okazji do entuzjazmu, nie obudził w nim żadnej ironicznej, żadnej pogardliwej myśli.

Wackowski właśnie podszedł do niego, z zapytaniem o Flora:

Gipski wzruszył ramionami:

- A bo ja wiem, gdzie on jest...
- Że on się nie pokazuje publiczności?!
- To jest — nieprzyzwoitość i niewdzięczność — zawyrokował Gipski z

namaszczaniem, teraz u niego coraz częściej.

Rozpoczął się jednak akt ostatni i wyszła raz jeszcze przód sceny Joanna, aby wypowiedzieć

znowu długi monolog. To wywołało narazie konsternację w widowni. Teatr realistyczny wypędził monolog zupełnie ze sceny, ponieważ nikt głośno do siebie nie gada, oprócz waryatów. Teatr nowy w wyzywający sposób wracał monologowi wszystkie honory dawne, aby teatr dzisiejszy sponiewierać. A Flor, który był głównie lirykiem z samego tytułu swej młodości, niezawodnie w te wybuchy samotne Alcesty włożył najlepszą i najmocniejszą część swej świeżej duszy. Alcesta teraz urągała słońcu, że śmie świecić nad jej życiem, niby nad próżnym dzbanem, z którego wyciekło wszystko wino miłości. I rozrzewniała się nad Hadesem, który przyszedł za nią, na ziemię, rozpostrzeć cienie w jej osmuczonej duszy. A bogom znowu się dostało za to, że nie rządzą światem według ludzkiego, ciągle zmiennego życzenia.

Trwało to sześć minut wedle zegarka, sześć godzin wedle miary wrażenia zdemoralizowanej przez dialogi sztuki współczesnej publiczności. Część widzów miała tego za dużo; i niektórzy zmanifestowali to półgłosem: — UUFL

Co dosłyszawszy, Nito począł sykać, usiłując wywołać śmielszą i bardziej stanowczą opozycję. Istotnie podnosiły się tu i owdzie w krzesłach irreverencyjne odgłosy. Już dr. Jago-dniak dwa razy poświsnął, mając zresztą na pieczy wyłącznie swą renomę proroka, gdy oto neo-klasycy spostrzegli niebezpieczeństwo i jak

Po wrót z za świata

batalion w ogniu stanęli ramię przy ramieniu w obronie zagrożonej reduty. Podniósł się grzmot oklasków coraz huczniejszy. „Brawo! Brawo!” poczęły wrzeszczeć głosy frenetyczne i natarczywe. Na paradyzie ktoś zrozumiał, iż nadszedł moment krytyczny a decydujący i zawołał głosem natchnionej prawdziwie komendy:

— Panowie, teraz! teraz!

Szał wybuchnął nanowo.

Joanna stała olśniona i ogłuszona tą burzą przez długi moment i dopiero po pewnym czasie z przepełnionem wdzięcznością sercem poczęła składać publiczności ukłony, trochę za niskie. Nie rozumiała ona, co zaszło na sali. I nie rozumiałaby nawet wtedy, gdyby nie absorbować jej całej gra, obawa i otucha, ponieważ aktorzy najmniej wogóle pojmują psychologię oklasków. Zbyt wiele władzy oklaski mają nad ich duszą, aby chłodnym okiem byli w stanie wglądać we wszystkie ich tajemnice.

— Boże! — odniosłam tryumf! — drżała jej dusza.

Tak samo myślał i książę Miecio. Był porwany, wzruszony, i wychylał się aż z łoża, jakby chciał Joannie pod nogi się rzucić. Towarzysze jego aż się dziwili. I niektórzy od tej chwili zaczęli nim chłodno gardzić, jako człowiekiem przystępnym uniesieniom.

— Un gobeur?!..

Nie spodziewali się tego po nim.

A księżę Miecio istotnie był uniesiony. Twarz mu czerwieniała; bił brawo, jakby nie księciem był i nie członkiem Jockey Clubu, ale parweniuszem, zbyt uszczęśliwionym przez pierwszy uśmiech, otrzymany przez wykwintną damę z arystokratycznego Parnasu; czuł że mu ta dziewczyna w białej szacie greckiej, podnoszącej białość jej ramion, cudnymi obrysowanymi liniami, jest drogą ponad wszystko i dziwił się, że mógł ją zapoznać, zaniedbać, porzucić i innemu oddać.

Teraz na scenę weszła śmierć, Tanatos, istota łagodna, choć pełna charakteru i ukazał się raz jeszcze Herkules, upostaciowanie siły, nie opatrzonej rozumieniem celu świata, — i rozpoczęła się oto dyskusyjna, symboliczna i mglista część sztuki. Natchnienie opuściło tu poetę i przestało składać na czole jego pocałunki, po każdym z których pozostawał by ślad wieczny w formie pięknego wiersza. Ale teraz już autor mógł kazać mówić aktorom, co mu się podoba. Batalia święta była wygrana. Cały teatr prawie wstał do oklasków, gdy kurtyna się spuściła, a ci, co najmniej zrozumieli i nic nie odczuli, wychodzili podnieceni, najgłośniej wołając, że dzieło jest pięknem i że autor jest genialnym. Od jutra poczną oni pracować wytrwale na korzyść Romanowskiego i chwałę neo-klasycyzmu.

Gipski podążył raz jeszcze za kulisy.

— Wygraliśmy?! Co?! — dopytywał się dyrektor, nie dowierzając przez ostrożność zbyt pięknym zapowiedziom.

— Naturalnie! — odrzekł Gipski, — czyż pan wątpił?!

I, odrazu zmieniając ton, dodał:

— Ale żebyś pan wiedział, co ja się nad tem napracowałem?!

Dyrektor powiedział lirycznym głosem:

— Domyślam się tego.

I te dwie dusze bratnie wyznały sobie sympatye wzajemne w mocnym uścisku dłoni.

Gipski znalazł się u wyjścia na czas, aby skupić sztab neo-klasyków wokoło siebie i poprowadzić go do kawiarni dla ochłonięcia z wrażeń. Czuł jednak potrzebę jakiegoś syntetycznego gestu i na rogu najbliższej ulicy przystanął, aby zawołać z głębi upojonej iszcząciami się nadziejami duszy:

— Zwycięstwo! Zwycięstwo, panowie!

Podziałało to elektryzująco na dusze wrażliwsze.

— Niech żyje Gipski! odkrzyknięto mu.

Ta artystyczna manifestacya obudziła ciekawość stojącego na przeciwnym rogu ulicy policyanta, który wysunął naprzód głowę, i śledził sztab neo-klasyczny aż do zakrętu, poczem wrócił do swych nocnych dumaó, rozerwanych przez krótką jednak palącą chwilę zazdrości:

— Pijani...

Tymczasem młodzież nie rozpraszała się jakoś po wyjściu z teatru. Połączona uczuciem heroicznem dokonania wspólnemi siłami czegoś znaczącego, trzymała się w kupie wśród chaosu

nocnego odjeżdżających karet i dorożek. Pójść gdzieś razem?! Wszyscy instynktownie o tem myśleli. Nikt się nie żegnał. Nikt nie ruszał, nie odłączał. Po krótkiej chwili idea zbiorowo odczuta wyszła na pole uświadomienia się, uczyniono spowiedź portmonetek, odwołano się do koleżeńskiej solidarności, a gdy ta wzniosłe dopisała, ruszono na piwo.

Durewicz zobaczył zdała zebranych w kupę neo-klasyków i poszedł w inną stronę. Czuł żywą potrzebę samotności. Na przedstawieniu pracował na powodzenie sztuki w najuczciwszy sposób. Ręce mu popuchły, a gardło ochrypło. Zdawało mu się nawet, iż ten entuzjazm obudził podejrzenia u sąsiadów, a kiedy jeden z młodych panów pochylił się do ucha młodej pani, obok siedzącej, Durewicz był pewien, że mówi on jej o nim:

— To musi być przyjaciel autora...

To go nie zraziło do nowych oklasków, ponieważ był on pełnym odwagi cywilnej. Ale wrażenia, jakich doznawał, były smutne i przykre. Ten poeta pewno najjaśniej rozumiał i najżywiej odczuwał, z całej grupy neo-klasyków, historyczną potrzebę chwili zebrania, zjednoczenia, scalenia tego przerażającego mnóstwa elementów życia i sztuki, jakie chaotycznie wypłynęły i kłębiły się na widowni współczesnego istnienia. Ideał jedności, ideał doskonałości nurtował w nim głę- bokiemi niepokojami i napinał duszę jego do wielkich usiłowań. Przedstawienie „Powrotu

z za świata" było dlań bolesnem niemal, dla nieobecności właśnie w całym tym akcie podwójnym życia i sztuki jedności i doskonałości. Widział i czuł wokoło siebie elementy różne, obdarzone życiem niejednakowem i w stopniu niejednakowym. I to się plątało bez związku rzetelnego ze sobą. Tego pędu na ogniach energii, wiary i radości do mety słońca, — tego aktu wyzwania się swobodnych aniołów z glinianych więzień człowieczych, — tego hymnu harmonizowanego z dźwięków duszy pieśniarza, z tonów duszy aktora i z brzmieniem uroczystem rozbudzonych dusz słuchaczy, jak sobie wyobrażał premierę neoklasyczną, nie znalazł, nie dopatrzył, nie dosłyszał. Same zgrzyty niemal grały mu w uchu. Sztuka Flora ubogo realizowała reformatorskie marzenia świętej grupy, aktorzy zdradzali poetę w momentach, gdy winni byli go osłonić i podtrzymać, bez litości dla najmniejszej słabości tragedyi, — a publiczność?!

— Ach, ta publiczność?! — mówił sobie z bezmiarem gorczy Durewicz. Jest ona godna tylko cyrku, tresowanych zwierząt, bijących się po gębie pajaców?! Poco ona przychodzi do teatru?! Czego ona chce od sztuki?! Po co artyści dają jej dary snów swego życia a poeci ofiary krwi swego serca?! Oni tu przychodzą przepędzać czas, rozrywać nudę, spotykać znomych, pokazywać tualety, wysłuchiwać konceptów i komplementów, wypoczywać, interesy załatwiać nawet...

Po co przed tę trzodę rzucać perły sztuki i brylanty poezyi?!..

I stapał w ciemności, marząc o reformie nie sztuki, ale naprzód obyczajów; o teatrze, który byłby otwarty dla ludzi tylko raz na rok, na krótką epokę uroczystą dni dziesięciu; o teatrze bezpłatnym, ale daleko poza miastem położonym, do którego z trudem tylko można byłoby się dostać; o wielkich narodowych konkursach na tragedye, jak w Grecyi, o zamknięciu na dni, w których teatry się roztworzą, wszystkich sklepów, fabryk, biur i szkół; o skoncentrowaniu całego życia narodu, na moment, ale całkowicie, wokoło teatru...

Ale rozumiał, iż taka reforma obyczajów jest tylko zbyt pięknym marzeniem artysty, opuścił więc sen ten i z goryczą pomyślał o premierze „Śmierci świętego Franciszka”.

— Będzie to samo — myślał.

I zachwiał się po raz pierwszy w życiu na swej drodze.

Malinowska była jeszcze bardziej nieszczęśliwą. I ją oklaski omyliły.

— Teraz niema już co się łudzić — myślała, idąc do domu ze spuszczoną głową. — Tej roli Krycka nie wypuści.

Wiatrowskiego rozpacz jej doprowadzała do pasyi. Aby sprowadzić jej i swoje myśli na weselsze pola, zaproponował kolację w restauracyi z muzyczką.

— Nie, ja dziś nie mogę — odmówiła Malinowska złamanym głosem.

To go nadobre rozgniewało:

— Co za hece?! Mam tego doprawdy za- wiele! Daję ci zresztą wóz i przewóz. Albo zaraz pójdziesz ze mną na kolację, albo moje uszanowanie pani dobrodziejce i do przyjemnego nie zobaczenia się.

Malinowska zdobyła się na wielki krok energii. Odwróciła się od Wiatrowskiego i odeszła bez słowa.

Wiatrowski zgłupiał.

— Będiesz tego żałować, pamiętaj! — wołał za nią rozwścieklony.

Tym aktem pogardy wyczerpała się jednak energia Malinowskiej, podniecona od tygodnia tak wysoko, tak wbrew naturze duszy tej kobiety, i tak napróżno. Znalazłszy się sama w mieszkaniu poczęła myśleć, iż Bóg ją opuścił i przygotowywała się do samobójstwa.

XVII.

oanna nazajutrz rano oddychała pełną piersią. Książę Miecio wyszedł od niej, gdy już w oknach poczynało się niebieszczyć. Nie położyła się do łóżka, choć zmęczona jak nigdy, i wyczekiwała rannej godziny, w której na mieście ukażą się pierwsze egzemplarze dzienników. Tyle razy po nie posyłała teraz służącą, że ta, znudzona bieganiem po schodach, zdrzemnęła się u stóp kiosku, oczekując na ulicy rannych dzienników. Kiedy Joasia wzięła je w rękę, zdziwiła się, że ją chwala od niechcienia ledwie i bardzo pobieżnie. Nie rozumiała tego. Oczekiwała potwierdzenia tryumfu swego, który miała za największy tryumf życia. Nic z tego nie znajdowała.

— Podli! — zawołała, ściskając pięści.

Przeczytała w dziennikach to tylko, co o niej samej napisano, i potem odrzuciła je od siebie z gniewem i nienawiścią. Co pisano o innych, nic ją nie obchodziło.

Dusza jej poczęła znowu kręcić się męką dawną, męką stałą. Jutro przedstawiało się jej znowu niepewnem, dziś — pełne niepokoju. Położyła się spać, zawiedziona i wyczerpana.

Po południu odwiedził ją Fipka. Ten człowiek pokręcił się tylko wczoraj po kurytarzach teatru i już wiedział wszystko. O studentach, zaproszonych przez autora, — o nauczycielach gimnazyalnych, którzy przyszli do teatru bronić interesów filologii, — o sykaniu Nity i Jagodniaka i „dwustu innych”, — o oburzeniu wykształconej publiczności, bywalców teatralnych, na nudę monologów i bezsens sceniczny sztuki, — na walkę, jaką klaka stoczyła z publiką na początku trzeciego aktu...

— A ja to wzięłam za szczere złoto... — myśli Joasia w ostatecznem zniechęceniu.

Wyprawia Fipkę, jak może najprędzej. I jęczy pragnieniem śmierci, albo przynajmniej ciszy i spokoju, gdzieś, w najgorszym kącie prowin- cyi. Zbyt jest znużona. Zanadto los się nad

jj)

nią znęca. Ma już dosyć walki. Ma już dosyć wszystkiego.

Ach, żeby kto ją wyzwolił z tej sali tortur, która nazywa się teatrem?!

I nagle zamroczone jej myśli przebiega błyskawica ratunku.

— A gdyby?!... — mówi sobie.

I zaraz snuje plan odważny a prosty, jakie zwykle przychodzą geniuszom, czasem zaś wiel-
m

kim tchórzom. Siada do biurka i pisze do księcia Mięcia list:

„Kocham Cię! Jak nikogo! Jak nigdy! Pragnę poświęcić dla mej miłości, — nie śmiem powiedzieć dla ciebie, — sztukę i sławę! Chcę opuścić teatr choć na lat parę, jeżeli go nie będę umiała porzucić nazawsze, aby żyć naszą miłością. Z tobą, nie z kimkolwiek innym, chcę pojechać do świętej Grecyi. Jedźmy, najdroższy! Dziś! Jutro! Już nie pokażę się na scenie! Co mi sztuka, — co mi neo-klasycyzm wobec mojej miłości?! Niech wszystko ginie, zapada się... Jak myśmy się nie znali dotychczas, najdroższy, prawda!? Pakuję kufry. Najdroższy... Najdroższy..." Oczekiwała z drżeniem niecierpliwości efektu swego listu, obawiając się teraz, że napisała za czule, albo za krótko, albo za otwarcie, albo niedość wyraźnie, że może zepsuła śmiały plan błędami wykonania?!

Odpowiedź nadeszła niezadługo:

„Bajeczna jesteś, Żanetko, — naturalnie, że Cię porywam ze sceny w pełni tryumfu. Niech się po wściekają. To mi nawet sprawi przyjemność. Tak rzadkie są przyjemności w tem smutnem życiu?! Miałaś ideę przepyszną. Czy tylko upierasz się przy Grecyi? Czy kochasz mnie dość, aby mi poświęcić nawet Grecyę? Powiem Ci, że się obawiam morskiej cho

roby. Walka z bałwanami mnie nie pociąga. Wolę jaki inny rodzaj bohaterstwa. Rzym. Co? To także ziemia klasyczna. A można dojechać na samo miejsce; od Wiednia bez przesiadania się. Będziesz mi ciceronem po Rzymie, moja uczona, a ja tobie potem po Paryżu, bo i zabawić też się należy. Ale jeżeli mamy jechać już jutro, to dziś nie ujrzysz mnie u siebie. Nadstaw więc różowego dziobka. Jedziemy jutro w nocy. Warszawa zrobi minę? co ?"

Odpisała mu jeszcze:

„Do wszystkiego jestem zdolna dla ciebie. Jeżeli chcesz sam Paryż, to dobrze. Wież mnie, gdzie pragniesz, jak swoją rzecz". Ach! nareszcie będzie miała spokój. Za cenę kłamstw, to prawda, które nieraz będą ciężkie i trudne. Wie o tem. Ale przecież za dary życia trzeba czemś płacić. Takie jest prawo. Dobrze jeszcze, gdy za swoją zapłatę^ coś się otrzymuje cennego wzamian, gdy nie jest się oszukanym, pominiętym, pokrzywdzonym, zamiecionym do kąta brudną miotłą, niby śmieć. Powoli pakuje swe kufry. Około wpół do ósmej słyszy mocne szarpanie dzwonka u drzwi. Uśmiecha się szyderczo i ze słodkim uczuciem zemsty. To z teatru ktoś po nią przybył.

Woła do służącej: — Nie otwieraj! Nie otwieraj!..

SkSTT>\

-KONIEC.-

I M^T Y T